

# DZIŚ i JUTRO

KATOLICKI TYGODNIK SPOŁECZNY

Cena 60 gr.

Rok VIII

Warszawa, 18 maja 1952 r.

Nr 20 (338)

Stefan LICHANŃSKI

## Tragiczny prekursor



Ernest Hello

ERNEST Hello miał u nas na początku XX stulecia okres popularności. Tłumaczono go wtedy i nawet czytano. Ta fala zainteresowania przepłynęła jednak dość szybko i nie utrzymała pozycji Hello w świadomości kulturalnej polskiego katolicyzmu. Obecnie rzadko kto o nim wspomina i to przeważnie jakoś tak mimochodem. Cóż zresztą w tym dziwnego? Nadeszli inni. Nadeszła cała plejada pierwszorzędnych wielkości nowoczesnej francuskiej literatury katolickiej i wobec tego jej samotny prekursor musiał odejść w cień.

W roku ubiegłym minęło 65 lat od jego śmierci (urodził się w 1828 r., umarł w 1886). Jest więc nawet okazja, by powiedzieć o nim parę zdań, okazja tym bardziej godna wykorzystania, że dawne przekłady Hello (pochodzące sprzed pierwszej wojny światowej) są już prawie niedostępne, a i lektura ich może być dla czytelnika współczesnego (zwłaszcza młodszego) dość trudna.

Hello rósł i dojrzewał w okresie rozwoju romantyzmu francuskiego. Jako artysta jest nieodrodnym dzieckiem tej właśnie epoki. Jego styl nosi na sobie charakterystyczne piętno romantycznego patosu i romantycznej grandilo kwencji. Toteż typowa dla Hello hipertrofia patosu, przechodzącego często w retoryczną deklamacyjność, „czystą formę” kanonizacji apelującego wzruszeniem do wzruszeń, jest określona i zdeteminowana przyczynami natury pozaestetycznej. Tłumacz i popularyzator Hello, Walery Gostomski, jeden z najbardziej reprezentatywnych krytyków Młodej Polski stylizuje jego portret literacki według mody swego czasu (por. np. wstępy do przekładu „Człowieka” oraz do „Studiów i szkiców”). Chce w nim widzieć zapoznanego geniusza, do którego zrozumienia nie dorosła epoka „materialistycznego używania i dyletanckiego sceptycyzmu”. W pewnym miejscu pisze Gostomski: „Gdybyż swoje sprzeczne z duchem czasu idee, swe satyryczne przeciw duchowi czasu wycieczki chciał, czy umiał przywdziać w odpowiadające współczesnym gustom i modom szaty artystycznego obrazowania lub naukowych doktryn, może by wybaczone mu treść nie miała dla formy, imponu-

jące uczoną powagą lub pociągające beletrystycznymi powabami. Niestety, Hello nie miał w sobie nic z pedanta naukowego ani dyletanckiego beletrysty. O gusty, mody i prądy czasu zgoła się nie troszczył. Był bezwzględny rzecznikiem idei i samorodnym talentem pisarskim, jednym z najoryginalniejszych, najbardziej indywidualnych w naszej epoce”.

Brzmi to bardzo imponująco i ładnie: miała dziewiętnastowieczna Niniwa swego Jeremiasza, ale go nie chciała słuchać. „Obecna doba — kropi dalej Gostomski — bliższa mu jest ideowo, zdolniejsza go zrozumieć i ocenić, aniżeli ta niedawno upłyniona, wśród której żyć i działać mu przyszło”. Minęła Niniwa i wszystka chwala jej. Przyszli sprawiedliwi, którzy nie są „jako ów celnik”, zrozumieć i ocenić należą do Hello.

W rzeczywistości jednak sprawa nie wygląda tak prosto. Specjalnego zaszczytu nie przynosi francuskiemu pisarzowi ani fakt, że nie zyskał on popularności wśród swoich współczesnych, ani też to, że zapalali tak wielkim dla jego dzieł entuzjazmem modernści.

\*\*\*

TRAGEDIA Hello — to typowa tragedia człowieka, który stracił kontakt z historią. Syn mieszczańskiego patrycjatu, wychowany w duchu głębokiej religijności, człowiek szczerze moralny, tradycjonalista z przekonania a nie dla kariery, żył w epoce szczytowego rozkwitu potęgi burżuazji. Młodość jego przypada na czasy Ludwika Filipa, wiek męski na okres rządów Napoleona III i początki Trzeciej Republiki. Człowieka tego pokroju co Hello nie stać było na pełną solidarność ze swoją klasą społeczną: zbyt dobrze widział jej nędzę moralną, płaski materializm życiowy, drapieżną chciwość pieniądza i kariery. Była mu obca i on był jej obcy. Zbyt mocno jednak tkwił w tradycjach stanowych, zbyt silnie wrosł w krąg pojęć i wyobrażeń, zaszczerpionych mu w młodości, aby móc dostrzec działające podówczas we Francji konkretne siły dziejotwórcze i związać się z nimi. Jego tragedia przypomina tragedię Norwida. Hello zerwał ze swoją klasą społeczną, przeciwstawił się jej ostro i zdecydowanie, ale nie umiał zaaklimatyzować się w innej strefie rzeczywistości socjalnej. Zdeklasował się — i pozostał na uboczu. Deklasyfikacja nie pociągała dlań tak tragicznych następstw życiowych jak dla Norwida, ale niemniej jednak uczyniła go wyobcowanym ze swojej wspólnoty klasowej, osamotnionym inteligentem, nie znajdującym żadnego konkretnego adresata dla swej twórczości wśród współczesnych i dlatego — podobnie jak autor „Adleones” — pisującym listy „na Babilon do Jeruzalem”.

Obaj, stracivszy na skutek osamotnienia socjalnego bezpośredni kontakt z rzeczywistością historyczną, starali się go odnaleźć przez autarcie do źródła wszelkiej rzeczywistości, do kręgu prawd wiecznych i niezmiennych — do Boga. Była to próba — po utracie łączności ze światem stojącej się historii, ze światem

konkretnego społecznego — uzyskania metafizycznej sankcji dla swojej twórczości i skompensowania na tej drodze poczucia życiowej klęski. Pokonani na płaszczyźnie doczesności, nie zdolni do zrealizowania swoich zamierzeń środkami właściwymi tej doczesności, wycofywali się oni na płaszczyznę metafizyki religijnej, by tylko z tych pozycji — jako bojownicy wiecznych, ponadczasowych ideałów — atakować i na nowo zdobywać rzeczywistość ziemską.

Stali się pisarzami religijnymi... Niewątpliwie. Jest jednak dość poważna różnica, czy na to stanowisko przychodzi się przez przepracowanie centralnych zagadnień swojego czasu i swojego środowiska, przepracowanie docierające do religijnego dna owej problematyki, czy też przez uchylanie się od rozwiązywania tej problematyki w kontekście realnych procesów życia społecznego i przetransponowania jej na metafizykę.

Norwid i Hello usiłowali na pytania zadawane im przez ich epokę w jej własnym języku odpowiadać językiem wieczności. Dlatego też słowo ich nie dotarły do uszu współczesnych. Obaj jednak pozostawali w twórczości swojej konsekwentnymi, czynnymi katolikami i to ocaliło ich przed zabrnięciem w jałowość „sobie a Muzom” służącego trylonu „artystostwa”, przed pokusą chłonięcia się w wieży ze słoniowej kości.

„Słowo — jest czynu testamentem; czego się nie może czynem dopiąć, to się w słowie testuje — przekazuje; takie tylko słowa są potrzebne i takie tylko zmartwychwstają czynem — wszelkie inne są mniej lub więcej uczoną frazeologią...” — pisze Norwid, przewyższający Hello nie tylko talentem, ale i wiedzą kulturową świadomego swych możliwości i zadań wygnańca z własnej epoki. Pisarski jego testament przekazał pokoleniom, które przyszły miały po Polsce szlacheckiej („Syn minie piśmo, lecz ty spomnisz, wnuku...”) tak ważną dlań ideę kultu pracy oraz ideę świadomości historycznej. Jako wyraził tych właśnie idei zyskał on trwałe (choć skromniejsze niż przypuszczali jego młodopolscy apologety a i do dziś przez niektórych kwestionowane) miejsce w dziejach rozwoju kultury narodowej.

W twórczości Hello nie wypowiedziały się wprost żadne tendencje kulturotwórcze ważne z perspektywy rozwoju historycznego dokonującego się w ubiegłym i bieżącym stuleciu.

Twórczość ta rozwijała się w klimacie wieczności, inspirowana jednym pragnieniem: żarem uniesienia religijnego podpalił doczesność i z tej rudy wytopić jak najrychlej Królestwo Boże na ziemi.

Norwid, nie zdoławszy znaleźć sobie miejsca przy warsztacie procesów dziejotwórczych, bolał nad swoim osamotnieniem i skarżył się na nie w wierszach tak wstrząsających jak choćby owo słynne „Wczora — i — ja”. Hello tego rodzaju dramatów świadomości nie przeżywał. Nie widział, nie rozumiał historycznej problematyki swego czasu i podjął próbę stworzenia koncepcji człowieka („L'homme” — brzmi tytuł najważniejszej jego książki, wydanej —

znamienna to data! — w 1871 r.) pozahistorycznego, człowieka postawionego twarzą w twarz z wiecznością.

\*\*\*

BÓG, świętość, życie duszy, prawdy wiary, prawa moralne — ot rdzeń problematyki Hello.

Cel życia jest bowiem dla Hello tylko jeden: przez gmatwaninę spraw świata przedrzeć się do Boga. Ale cel ten może być osiągnięty w różny sposób. Chodzi o to właśnie by zrealizować go jak najdoskonalej, by dotrzeć jak najbliżej do Boga. Chodzi o to, by zostać świętym. Hello czuł wielkość ludzką, a nie widzi małości. Wstrętem i grozą przepelnia go myśl, że mogą istnieć ludzie mierni, pogodzeni z tą miernością i świadomie w niej trwający.

Hello czuje się misjonarzem, misjonarzem, który w świecie ogarniętym zarazą powrotnego pogaństwa mieszczańskiego świata musi ratować dusze, musi nawracać. Ale co znaczy nawrócenie? Określa je on w ten sposób. „Oto, jak niektórzy ludzie pojmują nawrócenie. Sądzą oni, że nawrócenie jest oziębieniem duszy. Sądzą, że młodzież do pewnego czasu powinna szafować ogniem, jaki ma w sobie, ale w późniejszym wieku powinna się nawrócić, tj. począć się nudzić wedle pewnych reguł. Nie spostrzegają, że prawda znajduje się po stronie wprost przeciwniej. Nawrócić się, to znaczy zwrócić się ku Bogu, który jest płomieniem pochłaniającym. Nawrócić się to znaczy przystać do tego, co daje uniesienie radości. Nawrócić się, to błądźcie się ku miłości, to błagać Boga o część Jego życia, byśmy mogli kochać po Bożemu. Nawrócić się, to być ogarniętym bez miary i ograniczenia przez niegasnące nigdy płomienie miłości niezmiernie”.  
Trzeba budzić pragnienia ludzkie i trzeba potęgować je do najwyższego stopnia, rozżarzać w najpotężniejsze, najdalej sięgające pożądania. „Ogół popolity sądzi, że błądźcie w swych pragnieniach jest to być nadto ambitnym. Rzecz się ma wprost przeciwnie. Błądźcie w swych pragnieniach znaczy to nie być dość ambitnym, znaczy to chcieć zadowolić się tem, co nie jest nieskończone. Tylko nieskończoność nasycić może człowieka”.

Ale Hello zna nie tylko piękno i wielkość świętości. Zna on również jej cenę. Ta prawda, którą tak pięknie i lapidarnie wyraził Liebert: *Uczyniwszy na wieki wybór, w każdej chwili wybierać muszę, jest stale obecna w dziele Hello.*

Nie ma, nie może być dla człowieka spraw moralnie obojętnych. Oto myśl, która przewija się przez wszystko, co pisze na temat nauki, kultury, sztuki, życia jednostkowego, społecznego czy rodzinnego. Spoza każdego niemal jego zdania wychyla się widmo odpowiedzialności, by spojrzeć pytająco w oczy. Hello jest jednym z największych w literaturze poetów świętości ale także jednym z największych poetów sumienia.

Trudno z początku wczytać się w prozę Hello. Kiedy jednak przelamemy nasze uprzedzenia estetyczne

W NUMERZE m. in.:

D. HORODYŃSKI — Problez przemiany

K. EBERHARDT — Róże i zgliszcz

I. DUDEK — Trudny początek

L. DWERNICKI — Pierwsze C

H. KRAJEWSKA — Rodzina na przełomie

B. KOLEC — Wieczory pod lipą.

i poddamy się działaniu tych palających od wewnętrznego żaru słów, doświadczymy uczuć pokrewnych tym, jakich doświadczają musieli słuchacze Bossueta czy też czytelnicy Pascala.

SIEŁA i sugestywność Hello wynika stąd, że jego wizja świata zbudowana jest z samych idei, z pojęć oczyszczonych z akcydensów ich potocznej rzeczywistości. W tym leży zarówno jego siła jak i zarazem słabość.

Dla Hello chrześcijaństwo istnieje tylko jako idea absolutna, poza — i ponadczasowa. Wiek XIX pojmujemy wyłącznie jako negatyw tej idei. Osądza go i potępia, odrzuca i przewyższa. Ale dla kogo pisze Hello? Kto jest adresatem jego twórczości? Gdzie istnieją siły społeczne, dla których słowo pisarza byłoby organizującym imperatywem konkretnych działań?

Do ludu Hello przemówić nie mógł, ponieważ nie pojmował dynamiki rozgrywających się procesów historycznych i w problematyce życia społecznego widział tylko pewien wycinek ogólnego kręgu problematyki moralnej. Burżuazja musiała go nienawidzić jako bezlitosnego krytyka jej moralności, kultury i sztuki. Któż mógł go uznać za swego? Chyba tylko resztki dawnych ultramontanów, niedobitki burbońskiego feudalizmu — i to wyłącznie z powodu podjętej przezeń kampanii antyburżuazyjnej.

Chrześcijaństwo jest wieczne, ale chrześcijaństwo nie żyje poza historią. Przecistawiając się rzeczywistości burżuazyjnej Hello położył nacisk wyłącznie na zagadnienie obrony dusz swoich bliźnich przed spoganiem i zmarnieniem, sprowadził całe zagadnienie na płaszczyznę moralności. Kwestia realnej, ziemskimi środkami toczony walki o przebudowę form życia zbiorowego, o realizację w porządku doczesnym nowego, wyższego stadium rozwoju ludzkości nie weszła w zakres jego zainteresowań. I dlatego pozostał samotnikiem przemawiającym tylko do podobnych sobie samotników. Jako chrześcijanin nie mógł stać się pesymistą metafizycznym, ale stał się wyraziicielem pesymizmu historycznego. Świat historii, świat działania ludzkiego dokonującego się w porządku doczesnym i dla celów doczesnych uznał za dziedzinę opanowaną przez moc wroga Boga i wroga duszy ludzkiej. Dlatego też powiedziałem poprzednio, że nie tylko jako artysta był on prekursorem ekspresjonistów, tych piewów klęski i zwątpienia, rozpaczliwych buntowników przeciw światu rzeczywistości historycznej.

ALE Hello był chrześcijaninem, a był katolikiem i to ocaliło go od ostatecznej klęski. Jest on prekursorem nie tylko ahistorycznego buntu przeciw rzeczywistości, jaki podjął ekspresjonizm, lecz także prekursorem antyburżuazyjnego nurtu literatury katolickiej. Inni zdołali ten nurt pogłębić i związać go z walką o postęp socjalny, o sprawię-

(Dokończenie na str. 9)

Wilhelm Karol GERST

# Niemiecka młodzież katolicka nie chce wojny

**W** ARTYKULE krytykującym wszystkich młodych chrześcijan, którzy wystąpili przeciw nowym zbrojeniom Niemiec zachodnich, wypowiedział się, w marcowym numerze pisma „Mann in der Zeit“, jezuita Oskar Simmel. Powołuje się on przy tym na artykuł z jezuickiego czasopisma „Stimmen der Zeit“ (zeszyt styczniowy 1925 r.) ojca Maxa Pribella pt. „O wojnę czy pokój“.

Oskar Simmel w swym artykule omawia problem użycia siły. „Świat był obarczony grzechem pierworodnym — pisze autor — użycie siły zmieniło ten świat tak, że sprawiedliwy nie będzie zagrożony ze strony

niesprawiedliwego i rozsądek przez nierozsądek.“

Opinia według której surowy gwałt mógłby nas wybawić od skutków grzechu pierworodnego — to zupełnie nowa prawda z dziedziny wiary; zwłaszcza, gdy skądinąd wiemy, że w agresywnych planach przywódców Niemiec zachodnich gwałt ten ma być zastosowany wobec całych państw.

W dalszym ciągu tego artykułu, w równie groteskowy i budzący sprzeciw sposób, mieszka autor pojęcie wojny zaczepnej z wojną obronną oraz walki ideologicznej z przemocą fizyczną.

Czy wierzy ojciec Simmel, że

na przykład w Polsce, czy gdziekolwiek indziej we wschodniej Europie będzie chociaż jeden chrześcijanin, który życzyłby sobie znowu widzieć w swoim kraju neohitlerowskie oddziały zbrojne występujące „w obronie chrześcijańskich ideałów“?

Katolicka młodzież Niemiec zachodnich stoi często bezradna wobec tych „apostolów wojny“, których poglądy i wypowiedzi są zgodne z propagandą Ameryki. Młodzież Niemiec zachodnich kategorycznie nie chce wojny, nie życzy sobie stania znowu pod bronią, nie chce koszar ani pola bitew, których miała aż nadto za czasów Hitlera. Jest ona w znakomitej większości przeciwna tak nazizmowi jak i militarystyce. Młodzież katolicka w 1947 r. kategorycznie odrzuciła służbę wojskową i odmówiła w niej udziału. Niektórzy starsi przywódcy i duszpasterze usiłowali nakłonić ją do wstępowania w szeregi tworzącej się armii, zarzucając jej, iż swoim uporem stawia siebie w jednym rzędzie z młodzieżą ewangelicką i komunistyczną. Mimo wszystko jednak młodzież ta nie stanęła po stronie militarystów.

Młodzież katolicka w Niemczech zachodnich dużo czyta i bacznie obserwuje co się dokłada dzieje i co się w stosunku do niej knuje. Słyszała ona oświadczenie Achesona, z którego wynika, że zachodnio-niemieckie jednostki wojskowe mogą być rozrzucone po całym świecie i skierowane wszędzie tam, gdzie jakieś państwo należące do paktu atlantyckiego czuje się słabe militarnie. Mogą to być równie dobrze Indochiny jak jakieś inne tereny walk w Europie, Azji czy też Afryce. Młodzież ta, której tak dużo się mówi o ob-

ronie chrześcijańskiej kultury zachodniej nie może zrozumieć co ma z tym wspólnego wojna przeciw narodowi chińskiemu: pyta dlaczego walczyć ma na całym świecie i umierać w imię amerykańsko - kapitalistycznych interesów. Znane jest wezwanie angielskiego polityka King Halla, by 10.000 młodych Niemców z Zachodu zgłosiło się ochotniczo do walki na Korei. Młodzież chrześcijańska w Niemczech w swej znacznej większości kategorycznie ten apel odrzuciła, ale dotąd pozostaje dla niej niezrozumiałe dlaczego jej duchowni doradcy od razu zdecydowanie nie zaprotestowali przeciw tak dziwnemu żądaniu.

Większość katolickiej młodzieży, jak zresztą i całego katolickiego społeczeństwa czuje się głęboko dotknięta i żywo poruszona tą propagandą militarystyczną szerzoną przez koła kościelne. Ta rozterka duchowa katolickiej młodzieży w obliczu militarystycznych planów wyrastających w kraju chrześcijańskiej demokracji ujawniła się trzeciego marca 1952 roku przy stworzeniu nowego „państwa“ w Federacji Bońskiej w skład którego weszły dawne prowincje Wirtembergii i Badenii. Udział w głosowaniu był stosunkowo ograniczony. Na 4,5 miliona uprawnionych do głosowania 1,5 miliona nie wzięło udziału w wyborach. Jak się później okazało to właśnie młodzież wstrzymała się od głosu. To stało się powodem porażki C.D.U. na tym terenie. Młodzież katolicka nie wzięła udziału w głosowaniu, ponieważ nie zgadza się z wojennym kursem polityki uprawianej przez starych przywódców dążących do militarystyki. Młodzież ta

stała się politycznie bezdomna. Duchowni katolicy i świeccy przywódcy C.D.U. dążą śladem Adenauera i jeżeli nie zmienią swej drogi bez wątpienia nastąpi kryzys zaufania do tej partii. Szerokie koła katolików odpadną nie tylko od chrześcijańskiej demokracji, ale być może i od Kościoła.

Podobnego zdania są również niektórzy duchowni jak najostrejsze potępiający propagandę wojenną. Ustawicznie zabiegają o zdobycie młodych parafian do otwartej walki o pokój przeciw militarystyce. Miejmy nadzieję, że liczba tych prawdziwie dobrych pasterzy w najbliższych decydujących miesiącach stale będzie się zwiększać. Konieczne jest to nie tylko dla utrzymania pokoju, ale dla przyszłości Niemiec i dla dobra samego Kościoła.

Były kanclerz Rzeszy dr Joseph Wirth powiedział: „Prawdziwie niemiecka polityka nie może zdążyć do remilitaryzacji Niemiec zachodnich i do utrzymania podziału Niemiec. Wszystkie swe siły należy skierować ku rozładowaniu napięcia między Wschodem a Zachodem, a wówczas my Niemcy żyć będziemy na stopie pokojowej z naszymi sąsiadami i będziemy współpracować z nimi na równych prawach.“

To pełne głębokiej treści zdanie odnosi się nie tylko do katolickich polityków C.D.U., ale również do wszystkich duchownych i świeckich przywódców z Niemiec zachodnich, którzy nie dążą do usunięcia napięcia między Wschodem a Zachodem. Sieją oni nienawiść między narodami i to jest ich ciężką nie do darowania winą. Działalność ich jest przeciwna nauce Chrystusowej.

## Dorozmawiamy...

Drogi Panie Edwardzie

**N** APISAŁ Pan do nas chyba najdłuższy list, jaki zdarzyło mi się czytać w praktyce redakcyjnej. A przynajmniej, że przeczytałem ich już nie mało. List Pański, gdybyśmy chcieli go przedrukować zająłby chyba dwie pełne strony naszego tygodnika. Już choćby tylko dla tej przyczyny nie umieścimy go na naszych łamach.

Trudno również go streścić, bo czegoś w nim nie ma. Pisał Pan po prostu, wszystko co się cisnęło pod pióro, nie ominął Pan chyba żadnego tematu.

Zaczyna Pan od zapewnienia: „już od dłuższego czasu śledzę z zainteresowaniem bieg wypadków współczesnych“, w związku z czym prosi Pan nas o wyjaśnienie interesujących Pana kwestii. Następnie jednak przeprowadza Pan z nami bardzo obszerną polemikę, miejscami w tonie, powiedzmy, nadmiernie nerwowym. Dalej jednak, po łaskawym ocenie całokształtu naszej działalności i postawy, kieruje Pan z kolei pod naszym adresem patetyczny apel o dalszą, intensywną, jak najszerzej zakreśloną działalność i już w naprawdę bardzo serdecznych słowach zachęca nas Pan do postawy pełnej konsekwencji i energii.

Mówiąc więc zupełnie szczerze — nie wszystko w Pańskim liście trzyma się kupy. Nie wszystko też mogłem zrozumieć. Najserdeczniej zapraszamy Pana kiedyś przy okazji do redakcji, myślę że dogadamy się łatwiej, niż przy pomocy najobszerniejszych nawet listów.

A teraz, pozostawiając na boku sprawy szczegółowe a nie dostatecznie zrozumiałe, chciałbym, panie Edwardzie, spróbować streścić pokrótce moje refleksje wynikłe z tej tak obszernej lektury.

Nie wiem kim Pan jest, nie znam Pańskiego wieku, pochodzenia, warunków, kolei Pańskiego życia. Jedno nas powinno łączyć — i Pan i ja jesteśmy katolikami. I Pan i ja, wnioskuje to z Pańskiego listu, troszczymy się o przyszłość Kościoła. Ale na czym właściwie Pańska postawa katolicka polega? Czy aby nie głównie na przyzwyczajeniu się do tego co można najogólniej nazwać przedwojennym życiem. Przynajmniej ten problem przebiega niemalże z każdego zdania Pańskiego listu. Czyż przedwojenne życie w Polsce było, zdaniem Pana, zgodne z zasadami chrześcijańskimi? Czy pewien, iluzoryczny zresztą, spokój cechujący postawę wielu katolików, nie był wówczas wyrazem obojętności w stosunku do dziejącego się wokół zła. Jeśli ten spokój się w Panu załamał, to, niech Pan to właśnie zbada w swoim sumieniu, ile jest w tym w istocie pobudek moralno-religijnych, a ile po prostu tęsknoty do dawnego, miłego stanu uśpienia i bierności?

Czy zadał sobie Pan kiedy ciężki trud zrozumienia co się stało na świecie i u nas w kraju przez sześć lat wojny, przez siedem lat Polski Ludowej. Czy sądzi Pan, że można być naprawdę dobrym katolikiem świeckim, nie rozumiejąc świata, w którym się żyje. Czy zastanowił się Pan kiedy nad elementarną prawdą, że zadaniem Kościoła i katolicyzmu nie jest walka o naszą, osobistą wygodę życiową, ale wskazywanie nam chrześcijańskiej drogi postępowania w tych warunkach, jakimi nas Opatrzność obdarzyła?

Nigdzie w tym długim liście nie powiedział Pan właściwie czego Pan chce: potrafił Pan natomiast dosednie mówić o tym, co się Panu nie podoba. Może to przemilczenie nie jest przypadkowe, może Pan właściwie sam nie wie, ani czego Pan chce, ani jak swe niesprecyzowane zamierzenia realizować. Krytyka, toż to takie łatwe, szczególnie jeśli na dodatek zwalniamy się jeszcze z obowiązku rozumienia tego, co krytykujemy!

Istnieje, tak w Polsce, jak i na całym świecie, niestety, bardzo liczna, kasta katolików, dla których katolicyzm jest tylko bezpiecznym schronieniem przed trudnościami i ciężarem odpowiedzialności za współczesność. Treścią ich światopoglądu jest malkontentstwo, zgryźliwe przeświadczenie, że wszystko wokół jest marne i chybione i że oni jedynie są tytanami i niezwykłymi rycerzami Moralności. Niestety najczęściej są oni sami najmniejszą częścią tego świata, gdyż brak im nawet dobrych chęci.

Po co pisać te, być może przykre słowa? Nie po to na pewno, by się odwdzięczyć za parę szturchańców z Pańskiego listu. Pańskie niekonsekwencje nie zacierają faktu, że przeżywa Pan problem odpowiedzialności za Polskę, za Kościół, za naszą wspólną wiarę. Jestem przekonany, że jeśli przezwycięży Pan w sobie pokusę złudnego spokoju, jeśli zdobędzie się Pan na odwagę zrozumienia naszego świata, jeśli wreszcie zrozumie Pan katolicyzm jako religię czynnej miłości bliźniego, każdego bliźniego — to wówczas porzuci Pan postawę jawnej negacji.

Będziemy wówczas rozmawiać jak przyjaciele, którzy się naprawdę dobrze rozumieją.

W. K.

## NOTATNIK POLITYCZNY

# Przed podpisaniem „układu ogólnego”

Według pierwszych oświadczeń Waszyngtonu tzw. układ ogólny między mocarstwami zachodnimi a rządem Adenauera miał być podpisany w dniu 17 maja. Wkrótce po tym przesunięto ten termin na 20 maja, a obecnie Acheson zapewnia, że w każdym razie układ zostanie podpisany „jeszcze w ciągu maja“.

Jakie są przyczyny tej tak bardzo niepożądanego dla inspiratorów agresji zwłoki. Wydawałoby się, przecież, że po niedawnym parafo waniu w Paryżu układu o armii europejskiej teren dyplomatyczny dla układu Waszyngton-Bonn został dostatecznie przygotowany. Okazuje się jednak, że nawet najsprytniejsze posunięcia taktyczne nie są w stanie przygłuszyć rosnącego protestu zachodnio-niemieckiej opinii publicznej, z którą nawet Adenauer musi się pośrednio liczyć. Na kształtowanie tej opinii decydująco zaczęły dwie ostatnie noty Związku Radzieckiego w sprawie zjednoczenia Niemiec i traktatu pokojowego, oraz szczerze i nieugięte stanowisko Rządu NRD u wyrażone wywiadem udzielonym przez wicepremiera Ulbrichta delegacji ludności Niemiec Zachodnich i pierwszomajowym wystąpieniem Prezydenta Wilhelma Piecka.

Coraz silniej ugruntowuje się wśród zachodnio-niemieckich mas opinia, że rząd NRD wraz z popierającym jego inicjatywę całym obozem pokoju jest zdecydowany dążyć do zjednoczenia i neutralizacji Niemiec, bez względu na dzielące

Niemców różnice orientacji politycznych. Gdy jednocześnie coraz jaskrawiej ujawnia się wojenny i antyzjednoczeniowy charakter amerykańskich planów wobec Niemiec, coraz mniej wątpliwości dla szerokiej mas ludności Niemiec zachodnich następuje wybór jedynie korzystnej dla narodu drogi. W tej sytuacji Adenauer ma nie lada o-rzech do zgryzienia.

Znajdująca się w oficjalnej opozycji do jego rządu socjaldemokratyczna partia Schumachera i Orlenhauera (równie zresztą antyrządziecko nastawiona jak adenaue-rowska CDU) domaga się nacjonalistycznego rozstrzygnięcia sprawy Saary w przygotowywanym układzie ogólnym, wygrywając równocześnie dla wyłącznie demagogicznych celów kwestię radzieckiej oferty podjęcia bezpośrednich rozmów między czterema mocarstwami. Z podobną taktyką akceptowała „w zasadzie“ samej idei układu ogólnego z jednoczesnym stawianiem maksymalistycznych wobec zachodnich „aliantów“ żądań spotkał się Adenauer u stronnictw wchodzących w skład jego własnej koalicji rządowej tj. „liberalnej“ „Freie Deutsche Partei“ i skrajnie nacjonalistycznej „Deutsche Partei“.

Sygnalizowane rozbieżności występują nie tylko wśród stronnictw bonnskich. Wyrażna różnica zdań uwydatniła się ostatnio także między rządami USA, Francji i Wielkiej Brytanii. Dotyczy ona przede

wszystkim problemem, czy układ ogólny winien być podpisany przed doręczeniem odpowiedzi trzech mocarstw zachodnich na notę radziecką czy też odwrotnie.

Rządy angielski i francuski realnie oceniając wrzenie panujące w zachodnio-niemieckiej opinii publicznej chciałyby uprzedzić podpisanie układu ogólnego negocjacyjnymi z ZSRR, słusznie uważając, że postępowanie odwrotne musiałoby zostać jednoznacznie potraktowane jako objaw dążenia do wojny per fas et nefas. Na odmienne stanowisko rządu USA prócz zupełnego lekceważenia opinii narodu niemieckiego i z całym cynizmem niefajnych już agresywnych zamiarów wpływa jeszcze jedna ważna okoliczność. Oto układ ogólny winien być jak najszybciej podpisanym, ażeby Kongres amerykański mógł go jeszcze przed lipcem ratyfikować. Jak wiadomo bowiem w lipcu nastąpi przerwa w obradach obecnego Kongresu, a nowy Kongres zbierze się dopiero w lutym 1953 roku.

Omawiane wyżej rozbieżności nie są interesujące same w sobie. Nie ludzimy się co do właściwego stanowiska w sprawie przyszłości Europy i Niemiec, zajmowanego bądź to przez rządy Anglii i Francji, bądź to przez „rodzimą“ opozycję w reżimie Adenauera. Rozbieżności te znaczą bowiem tylko o tyle o ile są skutkiem i sygnałem presji patriotycznej i pokojowo myślących Niemców.

Dominik HORODYŃSKI

WALKA O NOWE NIEMCY (2)

# PROBIERZ PRZEMIANY

**S**TARALEM się pokrótce przedstawić dlaczego zjednoczenie Niemiec na bazie demokratycznej musi doprowadzić do przesunięć społecznych w Niemczech zachodnich i dlaczego stwarzają one szansę zupełnej zmiany oblicza całego narodu niemieckiego.

Historia stosunku Niemiec i Niemców do Polski i Polaków jest szczególnie pouczająca jeśli chodzi o różnicę w postawie mas ludowo-demokratycznych a rządzących klas feu-

cych za darmo najcięższe prace dla narodu panów. Ten zbrodniczy zamiar skończył się, jak wiadomo największą klęską w dziejach Niemiec, dlatego, wydaje się, że dzisiejsi władcy Republiki Związkowej Adenauera modyfikują nieco swe polskie plany wybierając koncepcję pośrednią między koncepcją Hitlera a Ludendorffa. Tak przynajmniej wynikałoby z ostatnich oświadczeń podsekretarza stanu Hallsteina i jego kolegów.

wiada charakterystycznymi słowami: „Proponuję wam, panowie, wyrażenie sympatii dla powstania na czele którego stoi Mierostawski. Nie ulega wątpliwości, że sąsiedztwo cara Aleksandra jest dla Prus bardziej pożądane niż sąsiedztwo Mierostawskiego”.

Po roku 1870, gdy Bismarck „krwią i żelazem” zjednoczył i sprusaczył Niemcy, stał się rzecznikiem junkiersko-kapitalistycznej klasy i zdecydowanie zwalczał dalsze tendencje „Drang nach Osten”. Pruskie Niemcy powinny bronić i trwać to co zdobyte, powinny bogacić się i stać się państwem „środką” Europy narażonym ze wszystkich stron na atak wroga.

„Wszelkie zakusy wobec posiadłości leżących w obrębie cesarstwa rosyjskiego, muszą odpaść z góry ze względu na to że Prusy posiadają już więcej obszarów polskich, niż jest pożądane. Prusy nawet w razie najświetniejszego zwycięstwa nad Rosją nigdy nie mogą przyłożyć ręki do odbudowy Polski, która zawsze dążyć będzie do morza”. — Oto testament Bismarcka dotyczący niemieckiej polityki w stosunku do Polski i Rosji.

Polska polityka Bismarcka miała też swoje uboczne przyczyny klasowe. Od czasu Konstytucji 3 maja, Kołłątaja i Kościuszki w oczach reakcji europejskiej, której rzecznikiem zawsze były Prusy, Polska uchodziła za drugiego po Francji jakobina Europy. Był to jeszcze jeden powód, by w żadnym wypadku nie dopuścić do jakiejś takiej niezależności polskiej. Z punktu widzenia interesu gospodarczego tzw. Prus zachodnich, a przede wszystkim miasta Gdańska, polityka Bismarcka była katastrofalna, ale takie szczegóły zupełnie go nie interesowały.

**M**LODY a zapóźniony imperializm niemiecki czasów wilhelmińskich zdradził wschodnie zalecenia Bismarcka w jeszcze większym stopniu niż jego inne wskazówki polityczne. Monopolistyczny kapitał i ciężki przemysł dysponując junkierską armią i cesarzem o napoleońskich ambicjach miał znacznie większe plany zaczynając wojnę światową niż żelazny kanclerz, gdy sztykował swą wojnę duńską, austriacką czy francuską. Tym razem chodziło o militarne zawładnięcie całym kontynentem, o podporządkowanie Europy najbrutalniejszemu, bo wyrosłemu wprost z pruskich form feudalnych, imperium niemieckiemu.

Trzeba jednak przyznać, że nad pierwszym okresem wojny ciążyła pamięć o testamencie Bismarcka. Główne uderzenie poszło na zachód. Już po zwycięstwie pod Tennenbergiem pruski minister von Loebell pisał: „Mówią, że sprawa polska musi być w czasie tej wojny podjęta przez Niemcy. Nieprawda. Właściwa kwestia polska istnieje dla Niemców, jako kwestia wewnętrznie polityczna... W chwili obecnej Rzesza nie może dążyć do zawładnięcia obszarami rosyjskimi, gdyż wraz z posiadaniem tego kraju Niemcy musiałyby zejść z dotychczasowych torów swych dziejów i stanąć wobec zadań bardzo dla nich trudnych do rozwiązania”.

W rok później Hindenburg, jedna z najbardziej ponurych postaci imperializmu niemieckiego pisał: „Brakowalby mi musiało najprostszego narodowego instynktu, jakiego bądź zrozumienia przyczynowości dziejowej, gdybym nie uznał tego wielkiego niebezpieczeństwa, jakie z odbudowaniem Polski groziłoby mojej ojczyźnie. W jakikolwiek sposób usiłowanoby rozwiązać zagadnienie polskie, zawsze Prusy — Niemcy byłyby stroną poszkodowaną i musiałyby zapłacić okup polityczny”.

Jakże klasycznie w tych wypowiedziach dźwięczy klasowy charakter stosunku przedstawicieli imperializmu niemieckiego do narodu polskiego! — Z jeszcze większą pogardą i z jeszcze większym strachem ci sami ludzie myśleli i mówili o własnej, niemieckiej klasie robotniczej.

Ale Hindenburg nie dotrzymał słowa. Pod naporem konieczności, w poszukiwaniu żołnierza ogłoszony został w listopadzie 1916 sławny tzw. „akt niepodległościowy”. Akt ten miał charakter czysto formalny, „królestwo” polskie nie doczekało się ani granic ani króla. Gdy w pierwszych miesiącach 1918 r. po zerwaniu rokowań brzeskich wojska niemieckie załazy Ukrainę i Rosję, kolonizatorskie zamiary niemieckie wobec całej wschodniej Europy stały się jasne. Ze strony polskiej na gruncie „aktu niepodległościowego” stała tylko operetkowa Rada Regencyjna reprezentująca te same wielko-kapitalistyczne i wielko-ziemiańskie interesy klasowe, które reprezentował Berlin.

**N**IEMIECKIE ośrodki społeczne, które wywołały pierwszą wojnę światową i które ją przegrały, natychmiast po klęsce przystąpiły do przygotowania odwetu.

Ten okres historii Niemiec jest nam wszystkim dobrze znany. Przy poparciu monopolistów i junkierskiej kasty wojskowej Hitler zawiązał Niemcami. Aleksander Abusch, postępowy publicysta niemiecki, tak charakteryzuje hitleryzm: „Hitler przejął wszystkie reakcyjne elementy prusactwa, jako ważną część składową swej teorii i praktyki. Przejął jego organizację wojskową i ducha ślepego posłuszeństwa. Przejął legendę „sojalizmu pruskiego”. Przejął hasło „Drang nach Osten”; przejął pogardę junkrów pruskich dla ludów słowiańskich jako dla masy niewolniczej. Przejął również wrogość reakcji staropruskiej w stosunku do krajów zachodnich, jako krajów zwycięskiej rewolucji demokratycznej”. — Ale to bynajmniej nie było wszystko. Spisek monopolistów niemieckich przeciwko ludzkości zmierzał do zamienienia Europy w kolonię, do władztwa niemieckiego nad całym światem. By poderwać naród niemiecki do takiej awantury stworzona została nieprawdopodobna mitologia, odrzeczono mity starogermańskie, wymyślono „naukę” o ‘rasie i krwi itp. Narody zachodniej Europy, o wyższej organizacji przemysłowej miały być podporządkowane gospodarce Rzeszy. Na wschodzie nie było już teraz żadnej różnicy koncepcji w stosunku do Polaków, Rosjan czy innych narodów. Likwidacja i niewolnictwo — to wszystko.

Klasowe źródła hitleryzmu są dzisiaj jasne. Ale jest rzeczą interesującą jak hitleryzm nawiązywał do tradycji klasowej polityki pruskiej wobec Polaków i Słowian. Oceniając historię swego narodu w „Mein Kampf” Hitler widzi trzy trwałe owoce ostatniego tysiąclecia dziejów niemieckich: zdobycie i zasiedlenie ziem na wschód od Łaby, kolonizację Marchii Wschodniej i powstanie państwa brandenbursko-pruskiego.

Klasy rządzące dzisiejszymi Niemcami zachodnimi z poręki imperializmu amerykańskiego, reprezentują te same interesy społeczne i są w prostej linii spadkobiercami tej samej ideologii, która tyle nieszczęść i krwi przyniosła Polakom i wszystkim sąsiadom zjednoczonych przez Bismarcka Niemiec, a wschodnie podboje Prus uważają za największe wydarzenie w historii Niemiec. Wśród czołowych polityków z Bonn widzimy wahania tylko w dwóch kierunkach: koncepcja Bismarcka czy koncepcja Hitlera — ten wybór uzależniają zresztą od okoliczności.

W pierwszym okresie po zakończeniu drugiej wojny światowej wielki kapitalizm zachodnio-niemiecki był po woli narzędnikiem w rękach imperializmu amerykańskiego. Dzisiaj chce on być pełnoprawnym towarzyszem tego imperializmu. W naszych oczach przy pomocy imperializmu amerykańskiego wyrósł imperializm niemiecki o twarzy dobrze nam znanej, coraz częściej reprezentowanej personalnie przez tych samych ludzi, którzy odgrywali kierowniczą rolę w hitlerowskiej próbie przemocy.

Pod tym kątem widzenia należy ocenić wypowiedź dr. Hallsteina na konferencji prasowej w Waszyngtonie w początkach marca 1952 wywołującą do „uporządkowania” Europy aż do Uralu. Pod tym samym kątem uwagi Schumachera, że bitwy III wojny światowej trzeba rozegrać nad Wisłą, oraz oświadczenie Adenauera, iż nowy ład europejski jest najwyższym celem jego polityki. W czasie debaty w Bundestagu w Bonn w dniu 4.IV.1952 dwaj posłowie CDU dr. Kiessinger i dr. Tillman stwierdzili, że rząd związkowy winien wstąpić na drogę zjednoczenia Niemiec jak również integracji Europy, lecz winien to zrobić jednocześnie. Dodali przy tym, że nie można rozwiązywać problemów niemieckich w izolacji, że trzeba znaleźć „rozwiązanie w skali planetarnej”. W ten spo-

(Dokończenie na str. 4.)



Walki rewolucyjne na ulicach Berlina w 1948 r.

dalnych a później wielko-kapitalistycznych.

Do złamaniu przez Polskę w XV i XVI stuleciu kolonizatorsko-grabięczego zakonu krzyżackiego stosunki polsko-niemieckie nie odegrały poważniejszego znaczenia w dziejach obu naszych narodów aż do okresu powstania silnego państwa pruskiego. Lud niemiecki XVI i XVII stulecia w niczem nie przypomina dzisiejszego naszego wyobrażenia o Niemcach zabobnych i krwiożerczych. Niemcy były wówczas krajem najbardziej łupionym i dewastowanym ze wszystkich krajów świata. W ciągu wojny 30-letniej liczba ludności spadła z 18 do 6 milionów a pokój westfalski dopełnił ruiny przekształcając Niemcy w federację trzystu kilkudziesięciu państewek duchownych i świeckich z ambicjami do suwerenności. Kraj w takim stanie, uzależniony całkowicie od polityki francuskiej, był najbardziej nieszczęśliwym widowiskiem w Europie.

Stosunki polsko-niemieckie nabierają zasadniczego znaczenia z chwilą wzrostu potęgi monarchii brandenbursko-pruskiej. Od czasów frydrykańskich stosunek reakcji pruskiej a późniejszej reakcji zjednoczonych i sprusowanych Niemiec do Polski ulegał specyficznej ewolucji, której warto się przypatrzeć, gdyż ostatnim jej ogniwem były dzieła Adolfa Hitlera a dziś są nim: zamiary Adenauera, Kaizera i uczącego się od nich stosunku do „sprawy polskiej” imperializmu amerykańskiego.

Z grubsza powiedzieć można, że ewolucja ta miała trzy fazy. Pierwsza od Frydryka II do ustąpienia Bismarcka polegała na aneksji dużej części ziem polskich z zamiarem strawienia, wynarodowienia elementu polskiego. Druga faza, to polityka wschodnia Wilhelma II i Ludendorffa w czasie pierwszej wojny światowej zmierzająca do aneksji niemal wszystkich ziem polskich w celu zamienienia ich na pół-kolonie niemieckie i teren rekrutacji taniej siły roboczej. Wreszcie faza trzecia to szatańska próba skolonizowania Europy przez hitleryzm, która w stosunku do Polski wyrażała się przede wszystkim programem wymordowania „ausrotten”, polowy Polaków i zamienienia pozostałych przy życiu w wieczystych niewolników spełniają-

**D**WA czynniki oddziaływały w ostatnich dwustu latach na politykę prusko-niemiecką wobec Polski, po pierwsze takie czy inne koncepcje niemieckich warstw rządzących w stosunku do Rosji — czynnik ten grał tak w poczynaniach Frydryka II jak i w manewrach Kaizera w 1948 r.; po drugie postawa mas demokratyczno-mieszkańskich a z czasem ludowych narodu niemieckiego.

Przypatrzmy się czynnikiom pierwszymu.

Po trzecim rozbiore Prusy posuwały się 400 km na wschód; państwo Frydryka Wilhelma II liczyło 6 milionów Niemców i 4 i 12 miliona Polaków. Od pierwszych aktów agresji Frydryka II w stosunku do Polski obowiązują politykę pruską następujące zasady: niemieczy terytorium zaanektowane, nie posuwać granic państwa za daleko na wschód gdyż: na grobie Polski należy cementować przyjazne stosunki z carską Rosją, posiadanie zbyt licznych elementów polskiego w ramach państwa pruskiego mogłoby doprowadzić do autonomicznej Polski pod berłem pruskim, która nieuchronnie dążyłaby do ujścia Wisły a tym samym do odcięcia Prus Wschodnich od Brandenburgii oraz do zjednoczenia wszystkich ziem polskich.

W 1859 roku Bismarck zostaje posłem pruskim w Petersburgu. Jest to okres, gdy w otoczeniu Aleksandra II liberalizująca inteligencja rosyjska zaczyna zajmować przychylniejsze stanowisko w stosunku do Polski. W Petersburgu mówi się o potrzebie reform, o odrębności narodowej Polaków, ba, nawet o ewentualności odbudowy państwowości polskiej. W tym wszystkim Bismarck upatruje śmiertelne niebezpieczeństwo dla Prus i cały swój talent kontrrewolucyjnego męża stanu rzuca na szalę wydarzeń. Wielkim jego tryumfem jest powstanie styczniowe ze swym tragicznym epilogiem. W imieniu Bismarcka w pierwszych tygodniach 1863 generał von Aivenleben zawiera tajną umowę z władzami rosyjskimi w celu wspólnego ścigania powstańców, woj-kom rosyjskim przysługuje prawo przekraczania granicy pruskiej w pogoni za Polakami. Gdy wiadomość o tej konwencji staje się publiczną i wywołuje interpelację w sejmie pruskim Bismarck odpo-

„Berolina” niezamierzony symbol nadętego i tępego mieszczaństwa epoki wilhelmińskiej.



# PROBIERZ PRZEMIANY

sób imperializm niemiecki zgłosił pretensje nie tylko do nowego ładu Europy, lecz i całego świata. Nagonka na granicę Odra-Nysa ma pod sztandary imperializmu z powrotem zapędzić cały naród niemiecki. Hitlerowski pretekst wojny o Gdańsk zmienia się w pretekst wojny o Śląsk i Prusy wschodnie. Zjednoczenie Niemiec w koncepcji monopolistów niemiecko-amerykańskich odgrywa przy tym jedynie rolę rozszerzenia bazy wyjściowej agresji. Koło zamyka się; przyczyny społeczne, związki polityczne i klasowe w ciągu paru lat sprowadziły Niemcy zachodnie na drogę Ludendorffa i Hitlera.

WARTO przypomnieć, że w 1948 roku, czyli w okresie gdy Tito prowadził swą akcję przeciwko ZSRR w krajach demokracji ludowej, gdy w Polsce gen. Tatar przygotowywał spisek wojskowy, w Niemczech pewna część ideologów i polityków burżuazyjnych podjęła starą tezę Bismarcka. Wspominam o tym, gdyż z jednej strony fakty te wskazują na międzynarodowy charakter dywersji przeciwko ZSRR w 1948 r. z drugiej zaś są jaskrawym przykładem do jakiego stopnia przywódcy wielkoburżuazyjni są zaślepieni i nieprzebudzeni. Odgrzana w Niemczech w 1948 r. teza bismarckowska, teza której głównym rzecznikiem był osławiony Jakub Kaizer, brzmiała:

Niemcy potrzebują wieczystego sojuszu z Rosją i sojuszu tego będą przestrzegać, ale pod warunkiem, by państwo polskie przestało istnieć i Niemcy otrzymały tak jak przed 150 lat wspólną granicę z Rosją. Dalsze rozumowanie zapóźnionych bismarcków zakładało, że burżuazyjny rząd niemiecki zlikwiduje bezkarnie polityczne przedstawicielstwo klasy robotniczej w Niemczech, zwiąże się z imperializmem amerykańskim i za parę lat odkryje swoje istotne zamiary w stosunku do wschodu Europy. Ładna koncepcja.

Widzimy w niej typowy przykład że wielkokapitalistyczna burżuazja zawsze musi mieć klasowy, zaborczy stosunek do Polski oraz dowód nieuleczalnie statycznego sposobu myślenia mieszczaństwa. Utożsamianie ZSRR z dawną Rosją carską, przykładanie tych samych kategorii do oceny polityki ZSRR i dawnej polityki rosyjskiej, to typowy błąd burżuazji wszystkich krajów. Błąd ten wynika z omawianej już statycznej umysłowości i z nierozumienia decydującej roli klasowego czynnika w politycznym rozwoju świata. Rzuć mowienie statyczne stosowane dzisiaj prowadzi do czystego formalizmu politycznego, którego najbardziej nawet pozornie uczone spekulacje nie mają nic wspólnego z rzeczywistością i sprowadzają się do polityki typu kawiarnianego.

Koncepcję bismarckowców niemieckich z ostatnich lat żywo przypominają swym formalizmem kombinacje polityczne pewnej części mieszczańskich ideologów polskich — tych wywodzących się z endecji — którzy to w ostatnim okresie okupacji i po rewolucji polskiej mówili o potrzebie sojuszu z Rosją, widząc w ZSRR tylko Rosję i łącząc tą formalną wolę sojuszu z zaciekłym antybolshewizmem i z reakcyjnym stosunkiem do narodów sąsiadujących z Polską.

Typowa dla losu tych koncepcji jest droga Kaizera dzisiaj prawej ręki Adenauera, co tydzień z nienawiścią piszącego o ZSRR i Polsce. Na tych pozycjach skończyć musi każdy ideolog polityczny, który nie widzi klasowych źródeł dziejotwórczej roli ZSRR i nieodwracalności narastającej rewolucji społecznej, kto nie widzi, że zmiany stosunków granicznych między narodami w obozie socjalistycznym mają charakter trwały, gdyż wynikają z nowych stosunków klasowych.

Wracając do kierunków politycznych w niemieckiej klasie panującej

ostatniego dziesięciolecia nadmienić trzeba na zakończenie o zamachowcach z 20 lipca 1944 gdyż wokół nich nawet w prasie polskiej nagromadziło się sporo nieporozumień. Mit bohaterstwa zamachowców stworzony został po wojnie przez najbardziej reakcyjne ośrodki wojskowe niemieckie w celu wzmocnienia legendy Wehrmachtu. W rzeczywistości grupa oficerów, która dokonała spóźnionego i nieudanego zamachu na Hitlera nie nosiła się z zamiarami żadnego odnawiania czy odradzania Niemiec. Chcieli oni zrobić to samo co robił Hitler tylko rozsądniej i skutecznie. Wiernie służyli Hitlerowi dopóki miał szanse zrealizować swe zbrodnicze plany. W 1944 r. uważając, że wojna jest przegrana, chcieli zawrzeć pokój na zachodzie i utrzymać daleko na wschód wysunięte granice Rzeszy, by z czasem próbę przemocy rozpocząć na nowo. Ich główny mózg polityczny, były ambasador w Rzymie, von Hassel, proponując Anglikom pokój, domagał się stanowczo granic wschodnich z 1914.

Osobiście jestem przekonany, że gdyby zamachowcom udało się chwycić władzę w Niemczech i gdyby potrafili przeprowadzić swe plany — na co nie mieli żadnych szans wobec potęgi Armii Czerwonej — dzisiejsza sytuacja Polski byłaby znacznie gorsza, a przede wszystkim nie mielibyśmy przed sobą wielkiej możliwości ułożenia dobrosąsiedzkich stosunków z Niemcami. Oto jeszcze jeden dowód, że ze strony burżuazyjnej i junkierskiej myśli politycznej niemieckiej oczekiwać możemy tylko za głady i nienawiści.

OD WOJEN napoleońskich ruch mieszczańsko-demokratyczny, zaś od połowy XIX stulecia socjalistyczno-demokratyczny stale w Niemczech przybierał na sile. Jak wiemy, aż do momentu powstania NRD, ten ruch postępowy zawsze przegrywał. Mimo to jednak nie można nie doceniać jego wagi a w szczególności cennej i szlachetnej tradycji jaką w świadomości wschodzących klas narodu niemieckiego pozostawił. W swej pracy „Przemoc i gospodarka w tworzeniu się nowej Rzeszy Niemieckiej“ Fryderyk Engels pisał: „Od czasu Fryderyka II Niemcy tak samo jak i Polska były w pojęciu Prus jedynie terenem podbojów, z którego można było przywłaszczyć sobie tyle ile się tylko dało“. — Dodać można, że wszystkie klasy narodu niemieckiego były terenem permanentnej demoralizacji dokonywanej przez Prusy a później przez sprusaczone warstwy kierownicze Niemiec. Tym ciekawsze jest stanowisko tępnego ruchu demokratycznego w stosunku do Polski. Jest ono istotnie diametralnie różne od stanowiska reakcyjnych rządów.

Już Stein — którego nie sposób nazwać demokratą — liberalno-feudalny minister pruski, przed ucieczką do Rosji snuł plany odbudowy niezależnej Polski. Język jakim pisał o Polsce daleko odbiega od języka fryderycjańskiego. „Największa część narodu polskiego, chłopstwo, pozbawione jest własności i swobody, zdane na samowolę panów, pogrążone w największej ciemności, prostactwie i brudzie... Podział Polski daje smutny obraz narodu, ujarzmionego przez przemoc z zewnątrz, któremu przeszkodzono w samodzielnym rozwoju swej indywidualności, odebrano dobrodziejstwo tworzenia sobie własnej konstytucji, narzucając mu wzamian obcą biurokrację“.

W czasie Wiosny Ludów czołowym hasłem ruchu demokratycznego i ludowego Niemiec stała się niepodległość Polski. Lud Berlina z okrzykiem „Za naszą wolność i waszą“ uwolnił z więzienia Moabit trzymanych tam polskich patriotów. Podniosły się masowe głosy protestu przeciw uciskowi pruskiemu w poznań-

Dokończenie ze str. 3

skim. Lud niemiecki widział w Polakach naturalnych sojuszników w walce o wspólną sprawę. Dlatego czołowy organ rewolucji niemieckiej „Neue Rheinische Zeitung“ drukował w sierpniu 1848 następujące zawołanie: „Powstanie demokratycznej Polski jest koniecznym warunkiem powstania Niemiec demokratycznych“; zawołanie to stało się kanonem politycznym niemieckiego ruchu rewolucyjnego.

Gdy w 1863 Bismarck pomagał dla wód powstanie styczniowe spotkał się z ostrą opozycją kół liberalnego mieszczaństwa. Protesty te napiętnował w parlamencie w swój sposób: „wstawiacie się, panowie, za obce narodowości kosztem własnej ojczyzny“.

Rewolucyjne wystąpienie klasy robotniczej w 1918 pokazało, że cyniczny imperializm prusko-niemiecki nie potrafił zgangrenować wszystkich klas społecznych Niemiec.

Obecnie w NRD najodpowiedzialniejsze stanowisko w życiu politycznym i społecznym zajmują ludzie, którzy przez ostatnich 20 lat na śmierć i życie walczyli z hitleryzmem, którzy w obozach stracili swych najbliższych i najlepsze lata życia. Walczyli też o przyjaźń narodu niemieckiego z polskim.

NIE MOŻNA mechanicznie oddzielać oceny narodu od oceny jego klas rządzących. Takie stanowisko byłoby szczególnie błędne w stosunku do narodu niemieckiego, który w swej przynajmniej większości szedł jednak drogą przemocy wykniętą przez jego władców. Cały naród polski, nasza klasa robotnicza, chłopstwo i postępowa inteligencja były w jakimś stopniu odpowiedzialne za błędną politykę sanacji i cały naród polski za katastrofę tej polityki płacił w równym stopniu. Sijając mord i zbrodnie na całym kontynencie europejskim ślepacze Hitlera reprezentowali nie tylko wielki kapitał lecz naród niemiecki. „Największe zbrodnie w dziejach ludzkich dokonane zostały w imię narodu niemieckiego“ — oto jasne oświadczenia jakie słyszy się od przywódców i działaczy w NRD. NRD uznaje ogromną winę narodu niemieckiego, uznaje bezwarunkową konieczność ekspiacji za dokonane zbrodnie. Winni są nie tylko bezpośredni zbrodniarze, esesowcy, gestapowcy itd. — którzy w NRD zostali albo rozstrzelani albo siedzą w więzieniu — lecz winny jest cały naród.

Z tego stwierdzenia niech nie wyciągają pochopnych wniosków ci, którzy nie chcą zauważyć, że zmienia się psychika i ideologia narodu w zależności od rządzącej nim klasy społecznej. Słyszysz się często: „co to za opowiadki o innej postawie różnych klas niemieckich w stosunku do Polaków, przecież gwałtów na naszym narodzie dopuszczali się nie tylko junkrzy i kapitaliści. Gwałt i zbrodnie nieśli na nasze ziemie synowie wszystkich klas narodu niemieckiego“. — Tak, istotnie tak było. Knechty Fryderyka, żołdacy Wilhelma i zbiry esesowskie — w swej ogromnej większości nie wywodzili się osobiście z warstw posiadających. Ale niosąc gwałt i przemoc reprezentowali oni nie ideologię ani interes własnych klas lecz narzuconą im ideologię klasy rządzącej. Bardzo świadome były metody narzucania tej ideologii. Już Bismarck największy nacisk położył na środowisko nauczycielskie. Nauczyciele ludowych szkół niemieckich musieli być przedsta-

wicielami pruskiej szkoły myślenia, później wilhelmskiego imperializmu, a w ostatnim czasie rekrutowali się spośród aktywnych członków partii hitlerowskiej. Jest rzeczą charakterystyczną, że w NRD po pierwszym okresie prób reedukacji środowiska nauczycielskiego, w 1949 wszyscy nauczyciele zostali z dnia na dzień zwolnieni i przeniesieni do produkcji. Na ich miejsce weszły nowe, młodzieżowe kadry, tzw. „neu-lehrer“ reprezentujące zupełnie nowy duch. Jeśli chodzi o Niemcy zachodnie to w tej chwili od szkoły podstawowej do uniwersytetu wykładają tam z powrotem dawne wychowawcze siły hitlerowskie. Typ człowieka, którego już w dziewiętnastym stuleciu udało się klasom rządzącym przedstawić jako wzór dla całego narodu, najlepiej przedstawił Henryk Mann w swej powieści „Poddany“. Film nakręcony na podstawie tej powieści w NRD oglądaliśmy niedawno w Warszawie. W tym duchu wychowywani byli wszyscy Niemcy; w wiersze w młot o „narodzie panów“, w legendę o posłannictwie „mocy i krwi“, w nakaz bezwzględnej posłuszeństwa.

Tragiczne dzieje socjaldemokracji niemieckiej są smutnym dowodem, jak głęboko trucizna sączona przez imperialistyczne klasy zatrąla cały naród niemiecki, zatrąla i część klasy robotniczej.

Od pierwszych rozmów Lassalla z Bismarckiem nad postawą socjaldemokracji zaciążyła tęsknota do złączenia ruchu robotniczego z potęgą armii i tradycją pruską. Pod naporem imperialistycznej ideologii przywódcy socjaldemokracji parokrotnie — i to w decydujących momentach — zdradzili interes klasy robotniczej Niemiec 4 sierpnia 1914 r., posłowie socjaldemokratyczni — wbrew Liebknechtowi — głosowali za kredytami wojennymi dla rządu opowiadając się tym samym po stronie imperialistycznej wojny. W czasie rewolucji robotniczej w grudniu 1918 ministrowie socjaldemokratyczni Noske i Shëidemann uzbrowili tzw. „korpus ochotnicze“, które zdławiły rewolucję. W chwili gdy Hitler dochodził do władzy istniały w Niemczech potężne partie robotnicze zdolne zagrozić drogę faszyzmu. 17 maja 1933 frakcja socjaldemokratyczna w parlamencie, w liczbie 80 posłów, głosowała za Hitlerem przekładającą młot i miecz nad interes klasy robotniczej. Tą samą drogą idzie socjaldemokracja Schumachera w Niemczech zachodnich w zaślepieniu antybolshewickim torując drogę nowemu faszyzmowi i własnej zagładzie.

Wyznanie jednego z tych socjaldemokratów, którzy w sierpniu 1914 zdradzili własną klasę, rzuca jaskrawe światło na rodzaj i głębię trucizny imperialistycznej, która przez pokolenia degenerowała naród. Haenisch, jeden z tych byłych socjaldemokratów, tak pisze: „A więc powiem: za nic w świecie nie chciałbym po raz drugi w życiu przeżywać walk wewnętrznych jakie wycierpiałem w owych dniach. Ta nieokreślona, gorąca tęsknota do zrucenia się w potężny wir piętrzącej się fali ogólnonarodowej, a z drugiej strony straszna wewnętrzna trwoga przed całkowitym oddaniem się tej tęsknocie przed zupełnym podporządkowaniem się nastrojowi, który tak gwałtownie ogarnął ogół i który, mówiąc szczerze, już dawno mną zawiadnął. Ów lęk, człowieku, czy nie popełnisz zbrodni na samym sobie i sprawie, czy istotnie wolno ci tak czuć, jak ci serce dyktuje. Ale oto — nie zapomnę nigdy dnia tego, ni godziny, nastąpiło wyzwolenie ze strasznego napięcia duchowego i można było odważyć się być tem, czem się było w istocie. Nastąpiła chwila, kiedy na przekór skostniałym zasadom i bezdusznym teoriom po raz pierwszy od prze-

szło lat 25 można było wreszcie z całej duszy ze spokojnym sumieniem — i bez lęku, że staniesz się przez to zdrajcą, krzyknąć pełną piersią: „Deutschland, Deutschland über alles“. — Wszystko tu jest charakterystyczne i styl, mówiący o ideologii politycznej w kategoriach sentymentalno-miłosnych i wnioskli.

\*\*\*

NARÓD się uczy. Klasy dojrzewają. Tragedią narodu niemieckiego i jego klasy robotniczej było, że uczył się on nie tylko na błędach ale na upadkach i wielkich własnych zbrodniach.

Naród niemiecki pozostanie zawsze największym narodem środka Europy i bezpośrednim sąsiadem Polski. Przynależność Europy w dużym stopniu zależy od tego jakim będzie ten naród. W ostatnim okresie wojny hitlerowskiej Stalin, przywódca państwa, które straszliwie od hitleryzmu uciepiał oświadczył: „Byłoby niedorzecznością utożsamiać bandę hitlerowską z narodem i państwem niemieckim. Doświadczenie historii uczy, że Hitlerzy przychodzą i odchodzą, lecz naród niemiecki i państwo niemieckie pozostają“. Prezydent Roosevelt, przedstawiciel liberalnego skrzydła kapitalizmu amerykańskiego również uważał, że naród niemiecki i państwo niemieckie mogą odegrać wielką pokojową rolę. Uważał jednak, że niezbędnym tego warunkiem jest, by: „Niemcy raz na zawsze uwolnili się od hitleryzmu, pruskiego militarystycznego tragicznego urojenia, jakoby stawali oni rasą panów na świecie“.

Brutalny imperializm trumanowski zdradził zalecenia Roosevelta i sam przejął od hitleryzmu „tragiczne urojenia“.

Pozostaje do wyjaśnienia, dlaczego część niemieckiej klasy robotniczej ulega wpływom ideologii imperialistycznej poprzez socjaldemokrację Schumachera i dlaczego w NRD nie tylko klasa robotnicza, ale również znaczna część chłopstwa, inteligencji i postępowych kół mieszczańskich przyjmuje nową, pokojową ideologię. Na przykładzie tym widzimy jak mocny jest wpływ układu klasowego na ideologię całego narodu. W Niemczech zachodnich klasa rządząca głosi imperializm i poprzez wszystkie ogniwa swego administracyjno-państwowego aparatu klasowego żarzą nim cały naród. W NRD usunięte zostały od życia publicznego dwie klasy: junkrów i wielkich kapitalistów, ukarani zostali zbrodniarze wojenni, władza państwowa może skutecznie wychowywać cały naród w duchu przyjaźni i braterstwa między narodami.

Dlatego na zakończenie tych rozważań o drodze dziejowej narodu niemieckiego raz jeszcze powtórzę muszę: istnienie NRD i dynamika rozwoju klasowego całych Niemiec — w razie ich zjednoczenia na pokojowej i demokratycznej bazie, oto podstawowe przesłanki do optymizmu, oto przesłanki, że cały naród niemiecki potrafi raz na zawsze zerwać ze złą i ciemną przeszłością.

Dominik Horodyński

CZYTAJCIE

„SŁOWO Powszechne“  
PISMO DZIENNE

Konrad EBERHARDT

# RÓŻE I ZGLISZCZA

NA PARĘ lat przed śmiercią, około 1581, gdy burza wojny domowej syciła nieco i z lasów okalających probostwo St. Cosme koło Tours słabe dochodziły jej uciążliwy, nie męczący spokoju dojrzwiającej jesieni — Piotr Ronsard<sup>\*)</sup>, największy poeta ówczesnej Francji napisał list do przyjaciela, Mikołaja de Neville, pana na Villeroy, w którym zamknął swoje pożegnanie z mijającym czasem:

Już czuję nadchodzącej zimy nawalnice  
 Już pięćdziesiąt sześć roków śnieg sypie  
 Już czas mi niechać pieśni, słodkości  
 Czas odejść od dni jasnych ze słowem  
 zegnania...

Podobnie jak kilkanaście wieków wstecz Horacy w swojej cichej wiosce Lamium lub Kochanowski pod konarami lipy — Ronsard, oglądając się na burzliwe lata przeszłe, pisze testament dla burzliwych wieków przyszłych.

I grałem moją rolę na teatrum świata...  
 W dzieły którą zszły czas, warunki  
 Widziałem grady, burze, błyskawice,  
 Widziałem ludy, króle, widzę lat  
 Widziałem wojny, wiece, rozejmy,

Niedawno, przeglądając książki w jakiejś bibliotece trafiłem na mocno okurzony tom dzieł Ronsarda, w którym znajdował się list poetycki do pana Villeroy. Nie odłożyłem jej już na półkę. Poezje Ronsarda odsunięte od dawna na margines mojej świadomości, stały się nagle bardzo bliskie. Powiało od nich zapach pożarów, a na kartach ich obudził się do życia delikatny wizerunek róży. Pożarów — bo odbiły w swych strofach wojenną pozęgu wieku i róż — bo ten, tak często u Ronsarda pojawiający się symbol oznacza stałą służbę Pięknu i wierność Sztuce. Poezja Ronsarda świetnie obrazuje te dwie ścierające się nieustannie siły: wojen, które niszczą i sztuki, która tworzy dzieła mogące przetrwać los rozbijanych bombami dzieł w czy płonących bibliotek, dzieła trwalsze od budynków, dzieła, których nie mogą zniszczyć dzieła ani miecze. Czyli w wypadku Ronsarda — róż trwalszych od płonących lasów.

**W**PROBLEMATYCE twórczości i życia Piotra Ronsarda temat: artysta i jego epoka jest jednym z najciekawszych zagadnień. W jakiej mierze epoka rozumiana jako zespół trwałych zjawisk stwarzających wieloprofilowe oblicze danego odcinka historii, oblicze polityczne, kulturalne, społeczne — u zależnia artystę, lub — może jakie formy przybiera zależność Sztuki od Historii? Ową zespół zjawisk nazywany epoką bez wątpienia organizuje osobowość twórczą arty-

sty, ale dopiero w tym kontekście wyrasta jego indywidualność, próby przeciwstawienia się epoce, spojrzenia poza jej właściwe granice horyzontu lub niebezpieczeństwo, gdy artysta usiłuje określić siebie i świat w sztuce oglądając się wstecz.

Zagadnienie tej korelacji jest oczywiście najbardziej interesujące gdy wielki pisarz żyje w wielkiej epoce. Spoglądając z oddalenia na ogromny fresk historyczny XVI w. widzimy, że sylwetka Piotra Ronsarda na jego tle wyraźnie uwypukla swe proporcje. Największy przed Lamartinem liryk francuski urodził się w wieku, który przez morze i otchłania zbrodni z uporem żłobił oblicze nowożytniej Francji. Z tej zawiei, jaką na gruncie religijnym rozpoczęła Reformacja wyłoniły się nowe ukształtowania polityczne, społeczne, intelektualne... To dynastia Burbonów, rażno zmierzająca do szczytu monarszej potęgi — tj. do absolutu, skąd już będzie mogła tylko osunąć się w przepaść i sceptyczna filozofia Montaigne'a, reprezentuje wartości, które wydobły się z tego chaosu i stanowią drogowskazy przyszłości.

Ronsard przeżył zresztą historii szmat cały... Rządy pięciu monarchów: budowniczego zrebów Renansu Franciszka I, Henryka II, młodocianego Franciszka II, Karola IX, którego kochał głęboko i za panowania którego rozegrał się główny dramat wojen religijnych, wreszcie Henryka III Valois.

Gdy powstają jego pierwsze „Amours” — niebo dopiero zaciąga się chmurami. Ale przez cały niemal wiek, niezależnie od wstrząsów wewnętrznych czy zewnętrznych trwa zmuDNA praca uczonych zagłębiających się w odkrytym nie tak dawno bogactwie myśli starożytnej. Pochylają się nad foliantami ksiąg greckich i rzymskich Claudio Ducehi, Pelletier du Mans, słynny hellenista, nauczyciel Ronsarda Dorat czy Etienne de Pasquier — twórcy kultury swego wieku.

W postaci Piotra Ronsarda uderza nas jego samodzielność i uniwersalność — jest człowiekiem dworu, związanym z polityką od najwcześniejszych lat — będąc pazurem u ks. Orleańskiego, później wychowawcą Karola IX — nigdy jednak nie jest pochlebca i czczym panegirystą, przebywa w pracowniach uczonych i artystów — potrafi również dokonać syntezy swojej epoki i ocenić wszystkie siły w niej działające. Jest w każdym momencie sobą. Jako artysta — staje zdecydowanie na czele późniejszego (w porównaniu z włoskim) renesansu francuskiego — jako pisarz obecny w swej epoce pragnie swoje pióro poświęcić walce o pokój i tolerancję — jako obywatel popiera działalność oboju pojednawczego Katarzyny de Medicis i kanclerza de l'Hopital. Nie zamyka się w artystycznej wieży z kości słoniowej. Może dopiero w parę wieków później Victor Hugo będzie z podobną siłą podkreślać odpowiedzialność artysty za swoją epokę. Dopiero romantyzm oceni tę postać poety wobec świata.

Ronsard widzi przed sobą całą Francję, jej zmagania wewnętrzne. Widzi jak w plątaniu interesów feudalnych, monarchicznych i społecznych tworzy się front walki katolików i protestantów. Obie strony są równie zajadle i okrutne. Z dymem idą wspaniałe dzieła sztuki kościelnej, wala się świątynie, klasztory, płoną wsie i miasteczka. Sama tylko banda protestancka barona Adret wymordowała na południu Francji parę tysięcy katolików. Z kolei póź-

niejsza rzeź Vassy i noc św. Bartłomieja są odpowiedzią katolicką. W ogniu walk wyznaniowych arystokracja pragnie równocześnie wskrzeszenia dawnej feudalnej świetności i osłabienia centralizacji monarszej.

Kiedy przerzucamy karty takich wism poetyckich jak „Zadanie wiary katolickiej”, „Rozprawa o nieszczęściach tego wieku”, „Błaganie o pokój” — powstaje przed oczyma obraz sylwetkę Katarzyny de Medicis, która mimo wielu pobudek osobistych istotnie pragnęła pokoju. W jednym z utworów zwraca się do niej z nadzieją —

... Pani, w czasie, gdy okrutna burza  
 Zagraża Francji straszliwym rozbiem  
 Gdy okręt w gradzie i deszczu się rusza  
 I z mórz wzburzonych pragnie uciec  
 z życiem  
 Przyjmij ster Jego, prosimy cie Pani  
 I do spokojnej zaprowadź przystani...

Królowa wprowadzie nie zawiodła Francji do „spokojnej przystani”, ale poezja Ronsarda napędziła otuchą i spełniła swoją społeczną funkcję.

**A**LE mylilby się również ten, kto sądziłby, że ta charakterystyka „historyczności” poety wyczerpuje problematykę ronsardowską. Nie podobnego! To przecież on właśnie, który stworzył ów nie do powtórzenia po raz drugi, symbol róży jako przejawu subtelności, pogody życia, uroku młodości. Róża, rozchylająca leniwie płatki nad ranem, spryskana rosą, obraz przemijającego piękna i młodości:

„Jako widzimy różę, gdy w czas  
 Młodzieńcza krasą pierwsze rozkwitania  
 Ze aż niebo jej barwom zazdrośnie  
 I brzasku Iza zrosi o porze świtania...”

Ow motyw, jak refren wypływający stał: „Comme on voit sur la branche de mois de mai la rose...” To u niego właśnie w mitycznych lasach igrają lekkomyślnie nimfy przy delikatnych powiewach południowego wiatru, przy wórze strun Anakreonta czy Wergiliusza. U niego właśnie kanclerza de l'Hopital, przywódcę stronnictwa rządowego, nercydy prowadzą na dno oceanu, do podwodnych zamków. Ale tutaj kryje się sens wielkiej współzależności z której Ronsard zdaje sobie doskonale sprawę: to właśnie historia — to wojny francusko-włoskie, to — niestety — oręż Franciszka I otworzył na roście wrota Alp pozwalając aby doszło do Francji łagodne ciepło italskiej wiosny — urok sifrot Guitton d'Arezzo, zmysłowy czar sonetów Petrarcki czy późniejszego Sannazzaro... Bo dzięki italianizmowi przeciwieństwo sonety Ronsarda nabrały blasku bezchmurnego greckiego błękitu, pod którym Anakreont tworzył swoje erotyki.

Wielu czytelników Ronsarda zadziwia często ten kontrast zarysowujący wewnętrznie jego twórczość. Polemiki polityczne, listy poetyckie, pamflety — sąsiadują wielokrotnie z tirykami czy erotykami o niezmaczonej pogodzie, w których trudno dopatrzeć się zdziżeń swego wieku. W rzeczywistości ronsardowskie róże kwitną często wśród zgłiszcz. Ale to również jest piętno jego epoki.

Współczesny, Théodor Bernard napisał: „Epoka moja podobna jest stolowi zastawionemu winami i wyszukanymi potrawami wokół którego zabawiają się piękni panowie grając swym damom na lutniach, obserwując jednocześnie przez okno pożary i masakry”. W istocie, im większe były okrucieństwa i niebezpieczeń-

stwa wojen religijnych — tym huczniejsze arystokracja urzędowała bale, a w literaturze tym chętniej powracano do sielankowości. Oprócz niewątpliwego tutaj egoizmu warstwy uprzywilejowanej — w zjawisku tym kryje się pewna prawda psychologiczna. Zachodzi ona i tutaj: im ostrzejszy stawał się spór katolicyzm czy protestantyzm — tym chętniej uciekano się w literaturze do mitologii. Ronsard, katolik, gorąco podkreślający swe stanowisko w tym sporze, sprowadził cały Olimp na ziemię, każąc greckim i rzymskim bogom rządzić światem...

Literatura często jest odprężeniem w najbardziej wyczerpujących starciach historii. Ale to historia właśnie zmusza literaturę do tej pozornej ucieczki, z której w rezultacie musi powrócić.

**J**EZELI istnieje problem artysty i jego pisarstwo wobec historii swoich czasów — itnieje również inne przeciwstawienie, bardziej nieuchwytnie i zwodnicze, natomiast lepsze jako motyw literacki: życie człowieka a życie narodu. Też prawdziwie ludzkiej sprawie Ronsard poświęcił jeden z najpiękniejszych sonetów. Nie posiada tytułu. Ja dałbym mu tytuł: dwie klęski. W pierwszej części sonetu opisuje współczesne mu wojny: „Widzę — pisze — jak Francuzi ociekają potem pod bronią, jak Bellona skrwawiona przewodzi wojskom...” Ogromowi nieszczęścia jaki dotknął Francję z poetycką smiałością przeciwstawia swoje małe, prywatne nieszczęścia. Proźne zabiegi o uczucie Kassandry Salvjati, czy późniejszej Heleny, de Surghere. „Dwa pola bitwy — pisze Ronsard — moja wojna skończyła się walką dwóch ludzi, w której poniosłem klęskę — tamta skończyć się musi bitwą setek tysięcy...”

Klęska Ronsarda, to ciąg zawodów uczuciowych: Helena de Surghere, dwórka Katarzyny de Medicis, którą otaczał prawdziwą miłością, zdobyła się tylko na to, aby żądać od cenzury królewskiej dodania komentarza do sonetów jej poświęconych, że w istocie poezje te jej nie dotyczą. (Prawdopodobnie złośliwy marszałek de Brissac odpowiedział pani de Surghere nie odznaczającej się pięknoscią: „wy-starczy dołączyć pani podobiznę...”) Klęska Ronsarda, króla poetów swego wieku, to jego samotna śmierć bez świty i orszaku. To może późniejsza

pogarda jaką otaczał spuściznę Ronsarda Malherbe i Boileau, których drażnił dynamizm uczucia rozpierająca sztywne kształty poetyckie sonetów, ód, eklog... To wreszcie obojętność dwóch wieków następnych, w których królestwo poetyckiego banału i szablonu, tzw. „klasycznego” nie mogło znieść świeżości i szczerości ronsardowskiej poezji.

Natomiast zrozumieli go dzięki Chateaubriandowi romantycy. Stał się dla nich rewelacją. Trzysta lat wstecz myślał ich kategoriami. Potrafił zachwycać się zielenią gastynskiego lasu i pięknem kobiety, potrafił zamknąć w swej przebogatej weryfikacyjnie i leksykalnie poezji cały wachlarz uczuć: miłość, oddaną barwami pełnej palety, dumę poetyckiego wladztwa lub horacjański żal przemijania. Ludzie wieku, który zaczął od rewolucji literackiej, a skończył na całym szeregu przewrotów społecznych — dostrzegli w Ronsardzie człowieka, który potrafił walczyć swoją poezją. Usłyszeli jego głos przedzierający się przez jęk wymordowujących się stronnictw, huk strzałów; trzask płonących wsi i miasteczek — nabrzmiały bólem, nieustannie domagający się pokoju i tolerancji. Tak rozpoczął się renesans Ronsarda w XIX w.

Dzisiaj dzieła jego znowu pokrywa pył. Romaniści z konieczności otwierają księgi jego zbiorowców wydań. Przeciwny czytelnik francuski jeżeli sięga, to nie do grubych tomów wypełnionych poezją polityczną, ale do tych paru tomików sonetów, które do dziś urzekają swoim poetyckim czarem. Ponad ironię pamfletów politycznych, doskonałą obserwację li-sów, charakterystyki historyczne ód — trwalsze okazały się miniaturki sonetów. Chociażby jak ta jedna z najpiękniejszych:

Kiedy trwam pochylony nad cza-rem  
 twęj twarzy  
 Widzę coś w oczach twoich co błyska  
 i znikła  
 To jasne, to zaś ciemne — co mnie  
 skroś przenika  
 I z żyły w żyłę całą krew mnie w sercu  
 waży

Te wątle — zdawałoby się — słowa przetrwały wszystkie pożary historii. Bo jednak sztuką inne rządzą prawa niż historią — z których czerpie ona tak wiele ożywczych soków i natchnienia.

Konrad Eberhardt

Piotr RONSARD

## Sonet

Mario — ustawaj! Zbudź się z gnuśnego uśpiania  
 Oto na niebie skowronek już niefrasobliwy  
 Uniósł się, wdzięcznie dzwoniąc i słowiczek tkliwy  
 Skryty w gąszczu miłosne swe rozpoczął pienia.

Wstawaj, chodź witać trawkę strojną w różne dziny  
 Twe piękne róże dumne wśród pąków brzemienia  
 I nadobne gwoździiki, którym ze strumienia  
 Przyniosłaś w odwiecznej wody dobrośliwej

Mario, przed spoczynkiem przysięgłaś wczora  
 że niż mię — rychlej Ciebie zobaczy Aurora  
 Czujną — lecz Cię zaranny sen drzewom uroczy

W niemocy słodkiej trzymaj z zawartymi oczyma.  
 Niechże je ucałują i twą pierś różaną  
 Po stokroć, abym ustawać nauczył Cię rano.

przekład Gabriela Karckiego

### DO P.T. CZYTELNIKÓW

Od dnia 16 maja 1952 r. zamówienia i wpłaty na prenumeratę pism przyjmować będą tylko urzędy pocztowe oraz listonosze wiejscy i miejscy. W związku z tym bez pośrednich zamówień i wpłat na prenumeratę do P.P.K. „Ruch” kierować nie należy.

<sup>\*)</sup> Piotr Ronsard ur. 11 września 1524 r. w Poissonière, zm. 27 grudnia 1585 r. w Saint-Cosme-les-Tours. Najważniejsze zbiory: „Odes” 1550, „Amours” 1552 — 53, „Bocace” (1554), „Hymnes” (1555) — 56, „Discours sur les miseres de ce temps” (1560). — „Rozprawa o nieszczęściach tego wieku”.

(FRAGMENT)

— Ładną dziś mamy pogodę, co? Panie inspektorze? — spytał Puskarski, siedząc na koźle z tą wymaganą od stangretów szcztokowatą sztywnością, jakby nie innego od urodzenia nie robił, tylko powoził dwójką koni.

Prawdę mówiąc, fach ten uprawiał od dwóch miesięcy, to jest od dnia, w którym dyrektor Walczak powiedział mu:



— Drogi panie Puskarski, dziwię się, że pan nam odmawia. Wierz mi pan, że zamiast grzebać się w tych obrzydliwych papierzyśkach, którymi coraz więcej nas zarzucają, wolałbym nieraz otł wzięć lejce, bat do garści i jechać gdzieś na cały dzień. Trudno, ostatecznie ktoś musi furmanić, przez ten czas nim nam przysła aut z demobilu francuskiego. A pan się na koniach zna.

Puskarski poprosił o trzy dni do namysłu, ale jeszcze tego samego dnia wyraził swoją zgodę. Wytłomaczył jakoś sam sobie, że jeśli sam dyrektor z takim (!) wykształceniem, jeśli różni urzędnicy z blura, jeśli różne panienki o rączkach tak białych, jakby nie innego nigdy nimi nie robiły poza dłu-baniem w nosie, jeśli więc ci wszyscy mogli w godzinach pozabiurowych „tachać” cegły, gdy właściwie mogliby iść do domu, to dla czego on, szofer z czerwonym prawem jazdy, nie miałby się unieść i na jakiś czas (przecież tylko na jakiś czas) zamienić kierownicę na lejce. Przy kierownicy nawet nie mógłby siedzieć Odkąd Niemcy, ustępując wywieźli z sobą wszystkie auta z cukrowni, nie pobliżając nawet rozklekotanej „Olimpii” jedynym środkiem lokomocji były konie.

Okazało się zresztą, że Puskarski dość szybko przystosował się do nowej roli. Nawet koźle, który akurat pokrywał się z jego szerokim zadem, zdawał się być zrobiony, jakby specjalnie dla niego. Konie, nie potrafiąc wyzyskać swego zwierzęcego instynktu, nie wyczuły w nim jakoś przedstawiciela wrogiego zawodu i całkowicie poddały się pod jego władzę. Tak, że na ogół był dosyć zadowolony ze swego nowego zajęcia, choć publicznie nigdy by się do tego nie przyznał.

— Panie inspektorze, no? Bydźcie z tego maka — obejrzał się na Bartłojczyka.

— Oj, źle, panie Puskarski — odparł inspektor, patrząc zaszepionym wzrokiem przed siebie. W zamysleniu skubał swe trójkątnie odnosa odstające, rzadkie wąsy, które upadabniały go do dropia.

Mimo późnej pory ludzi na polach prawie nie było widać. Praw-

dę mówiąc i pół nie było widać. Tylko od czasu do czasu trafiał się równy płat ozimin, wśród których, jak niewidzialna istota w czapce niewidce przechadzał się wiatr, smyrkając miękkimi dotknięciami ich zielone, lekko pochylone grzbiety, to znów gwałtownie je rozchylając do brązowej podszewki ziemi, aż wypryskiwały w górę jasnymi fontannami zieleni. Po za nimi wszędzie, gdzie tylko rzucił okiem, jak zawsze bujnie rosły różne chwasty i kwiaty nieproszone, które lekceważąc dawne granice między sąsiadami, zwały wszystko w jedną wielką plamę, stopniowaną różnymi odcieniami zieleni, seledynu i tych wszystkich barw, których maj ma jeszcze pełno w zanadru.

— Czy ja sobie z tym wszystkim dam radę — pomyślał Bartłojczyk, czując się nagle bezsilnym wobec tych wszystkich barw, które mało działały na jego wyczułce artystyczne, natomiast budziły w nim przykre perspektywy na przyszłość. Znał aż nadto dobrze przyczyny tego zaniedbania i wiedział, że jest ich zbyt wiele, by za jednym cięciem dało się je usunąć.

Przede wszystkim dał się odczuwać w tych stronach znaczny brak ludzi, którzy powywożeni przez hitlerowców na okopy i na roboty do Rzeszy, teraz dopiero zaczynali wracać. Wracali, niestety, często do zgliszcz i żałoby, gdyż stojący tu dosyć długo front poczynił znaczne zniszczenia zarówno wśród zabudowań, jak i wśród pozostającej na miejscu ludności. Największą jednak klęską były pozostawione na polach przez Niemców miny, które jeszcze teraz, gdy nad światem rozpostarł się pokój, zabijały małych, pasących bydło pastuszków i rolników wracających do swych chat. Codziennie wprawdzie widziało się małe gromadki żołnierzy, wyruszających z długimi tykami za miasto (część pół była już rozminowana) mimo to coraz słyszało się o jakimś śmiertelnym wypadku.

**C**HŁOPI uporawszy się ze zniszczeniem w gospodarstwie, wychodzili na pole. Cóż mieli robić? Ostatecznie z tej ziemi żyli. Ograniczali się jednak do tego, co było dla nich konieczne. Siali zboże, sadzili ziemniaki, na buraki trudno ich jednak było namówić. Nie można było zresztą bardzo dziwić. Buraki wymagały bowiem o wiele więcej pracy i staranności, niż jakkolwiek inna roślina. Trzeba je było, jak się to mówiło w tych stronach „hakać”, trzeba było koło nich chodzić, jak koło oranżeryjnej rośliny i wiecznie sprawdzać, czy ich nie zaatakował chwościk buraczany, mszyce lub zaraza płaszczynca i czy ich nie podgryzała jeszcze trudniejsza do zwalczania drutowce, pędraki, turkucie podjadki, wreszcie mszy. Po urządzeniu kilku zebrań, po licznych namowach udało się inspektorowi Bartłojczykowi niektórym rolników skłonić do wpisania się na listę plantatorów. Były to jednak wyjątki, wywodzące się przeważnie z miejscowej ludności. Gorzej było z repatriantami ze Wschodu. Zajmowali oni kilka wsi do niedawna zamieszkałych przez kolonistów niemieckich, którzy wraz z cofającą się wojskiem niemieckim, wyjechali stąd równie. Do stałych mieszkańców tych okolic, jak również do nowej sytuacji w jakiej się znaleźli, repatrianci nastawieni byli nieufnie. Czemu zresztą trudno było się dziwić — rośliny przeniesione do innej ziemi, też muszą jakiś czas te przenosiny odcierować, nim się przyjmą. Zresztą rzeczywistość, z jednej biedy przeszli w drugą. Nie przyszłi przecież do gotowego, jak ci, którzy trafili na Ziemię Odzyskaną, czekały ich tu gospodarstwa, które musieli odbudowywać. Ziemia pełna chwastów i min. Ani rusz nie dali się namówić na zakontraktowanie buraków, rośl-

Irena DUDEK

ny, z którą właściwie nie mieli dotąd do czynienia. Teraz właśnie do nich jechał, by znów namawiać, przekonywać, oblicywać. Była już blisko połowa maja, zbliżała się ostatnia pora siewu. Z tą ilością jednak zakontraktowanych buraków, co dotąd, nie można nawet było marzyć o rozpoczęciu kampanii.

— I co z tym robić — myślał zaszepiony.

— Niech pan popatrz panie inspektorze — obejrzał się znów Puskarski, ukazując swą pospolitą twarz, pełną oburzenia — te baldoki cholerne, co w siomiankach po błocie chodzą.

— Co za baldoki — nie zrozumiał Bartłojczyk.

— No te ze Wschodu — zdziwił się Puskarski, że inspektor jest tak mało domyślny.

Bartłojczyk spojrział. Mijał ich właśnie wóz, zaprzężony w jednego konia, nad którego karkiem zakręgała się, niby drewniana obroza obręcz długi — szczegół uprzedzi, zupełnie obcy dla tych stron. Idący obok wozu wysoki, stary chłop, człapał w wielkich siomianych łaplach, których złościłość dawno się zatraciła na rzecz pospolitego błota.

— Oho ho — roześmiał się dobrodusznym Bartłojczyk — udało się panu spotkać jednego baldoka w łaplach i na tej zasadzie wyrabia pan sobie sąd o innych, a inni przecież chodzą prawie zawsze normalnie w butach. Zresztą, powiadam panu, że to bardzo praktyczne obuwie. Szkoda, że nie może się pan o tym przekonać.

— Panie inspektorze, to ale dziki naród — przekonywał Puskarski nieco urażonym tonem — mój kozyn był u jednego takiego, koka chciał pożyczyc, bo tamten miał dwóch, a zaś kozyn — same kokozki. To wie pan, co uni tam porobili?! Durch poprzerabiali piec na takie z komnami, żeby na nich spać.

— Kto panu to wszystko opowiadał — spytał Bartłojczyk.

— Kto — odparł tamten z urazą w głosie — każdy. Pan inspektor, sam dziś zobaczy, jak tam pojadyemy — więcej się nie odzywał. On, z którego zdaniem liczył się sam dyrektor, był oburzony niedowierzaniem swego rozmówcy. Bartłoj-

# TRUDNY

nał, chwilę jeszcze dreptał w miejscu, nie wiedząc w jaki sposób ma się zabrać do pokonywania spadku rowu. Wreszcie przekoczył go niezbyt zgrabnie, o mało co nie gubiąc przy tym kalosza i pochylił się nad gęstwą drobniutkich roślinek. Ostrożnie, żeby nie uszkodzić delikatnej tkanki, wyjął jedną z nich z ziemi i rozpostarł na dłoni. Dwa liście odwijały się odśrodkowo, jak dwa skrzydełka po środku znacząc się lekkim, prawie niewidocznym uwypukleniem. Białe korzonek, do którego przylgnęły drobiny ziemi, był tak maleńki, że nie dałoby się go do niczego porównać.

— Patrz pan — rzekł do Puskarskiego, chwając się swoją zdobyczą — mają nie wiele więcej nad tydzień, a może i to nie. Piskłeta, prawda? Widzi pan ten pęcherzyk?

— Nie widzę — odparł chłodno Puskarski, chwycił uraza jeszcze nie wygasła.

— Patrz pan, tu u podstawy liścia. Pączek, jak marzenie.

— E, pączek — odparł urągliwie Puskarski, dla pana inspektora to może być i pączek, a dla mnie to nie.

— No bo on nie jest jeszcze dobrze wykształcony — tłumaczył Bartłojczyk, ale za jakie dwa tygodnie z tego pączka, którego pan jeszcze nie widzi, wykluje się pierwsza para listków, a potem druga po dwóch dniach, a potem...

— Mnie tam nie z liści mruknął Puskarski — krowa nie jestem.

**Z**NÓW jechali jakiś czas w milczeniu. Po obu stronach drogi otwierały się teraz przed nimi buraki. Z ich spiczastych, podłużnych pączków, wysuwały się, jak skrawki złoto-różowego jedwabiu, maciupękie listeczki.

W pewnej chwili Puskarski zawiercił się niespokojnie na koźle. Przez moment walczył z własną obrazą, wreszcie jednak chęć podzielenia się swoim spostrzeżeniem z jedynym towarzyszem podróży, stała się w nim silniejsza ponad wszystko.

— Panie inspektorze, widział pan, kiedy takum orkę — rzekł, obracając się do Bartłojczyka i wskazując na krowę zaprzęgniętą do pluga.



miejczyk zresztą zupełnie tego nie przeczuł. Był zbyt dobroduszny, by mogła w nim powstać chęć obrażenia kogoś, a nie przypuszczał, by mógł się na niego obrazić ktoś, kogo on nie miał najmniejszego zamiaru obrazić.

Chwilę jechali w milczeniu.

— Stój pan na chwilę — zawołał nagle z ożywieniem Bartłojczyk i podniósł się na siedzeniu bryczki. Gdy Puskarski sta-

prostu poszedłby pożyczyc od sąsiada! Ale w krowę orać? Nie! To mógł zrobić tylko „baldok”. Chłop zawrócił teraz i łyskając w słońcu lustrami pluga, jechał w ich kierunku. Znajdował się już o jakie trzy metry od nich, gdy nagle grzmotnęło, czarny krzak wyrzuconej w powietrze ziemi przesłonił chłopca i jego zaprzęg.

Bartłojczyk, który tak został zasypany ziemią, że na chwilę przestał widzieć, doznał wrażenia, że jakaś wielka siła uniosła bryczkę do góry i powrotem postawiła na miejscu. Otworzył oczy, spostrzegł, że Puskarskiego na koźle nie ma. Konie rwały w dół, trzępiąc bryczką w jedną i drugą stronę, jak czymś, co się przyczepiło do nich tylko przypadkowo i czego chciałyby się jak najspieszniej pozbyć. Bartłojczyk zastanawiał się, czy ma wyskoczyć i ewentualnie połamać nogi, czy też próbować opanować konie. Zdecydował się na to drugie, zrozumiał, że przede wszystkim musi schwytać nogi, które jednym końcem wlekły się po ziemi. W straszliwym chybotcie, grożącym w każdej chwili wyrzuceniem go na drogę, przelazł przez koźlów i położywszy się na dnie bryczki, wyciągnął rękę przedłużoną o trzon bata. Koniec lejce wymykał mu się kilkakrotnie, nim zdołał go uchwycić. Ponieważ o podobnym wypadku już kiedyś słyszał, wiedział co trzeba robić. Trzymał lejce mocno, nie szarpiąc ich jednak, wreszcie spostrzegłszy że rów z jednej strony spłycał, skreślił i wjechał w trawę. Konie zwolniły.

— Panie inspektorze, panie inspektorze — doganiał go Puskarski. Był przerażony i mówiąc do inspektora patrzył ciut, ciut ponad jego oczy — nie się panu inspektorowi nie stało? To dobrze. Jak mnie śmagało do tego rowu tom myślał, że już po mnie — wgramolił się od razu na bryczkę, nie siedział jednak tak sztywno, jak przedtem, bo go pobolewał nieco bok, który potłukł sobie, gdy to w moment po wybuchu, pierwszym impulsem wiedziący, wyskoczył na drogę.

— Zawróć pan, musimy zobaczyć, czy się co nie stało tamtemu człowiekowi — rzekł Bartłojczyk, skubiąc nerwowo swoje wąsy.

Ja tam nie nie wiem, leciotem za koniami — odparł Puskarski. Był niezadowolony. Musiało im się to akurat zdarzyć. I to przed samym Lelowem. Może trzeba będzie jeszcze chłopca odwozić do szpitala, potrzebne to wszystko?

Wbrew jednak spodziewaniu chłopca pozostał nietknięty. Siedział na ziemi ubabrany na czekoladowo, jak dziecko, które wyjadało smakołyki z garnka. Jego posępne spojrzenie snuło się po szczątkach krowy, dymiących jeszcze lekko, jak stęgnąca potrawa. Na pytanie, czy nie mu się nie stało, zachwiał przecząco głową. Puskarski z cicha zagwizdał.

— No ale krowę to wam roznieśli dokumentnie. Nie będzie co nawet épić do garnka.

Chłop nawet na niego nie spojrział.

— Lepiej, żeby mnie zabiło — wydał z siebie ni to czknięcie, ni to szloch.

Bartłojczyk czuł się tak, jakby sam zawinił.

— Może mógłbym panu w czym pomóc — pytał zmieszany — może byśmy pana podwieźli.

# POCZĄTEK

— III! nie trza — odparł chłop — chałupę mam zaraz z brzegu, sam dojde.

Gdy odjechał, Bartłomiejczyk w milczeniu przeżywał niedawny wypadek. Puskarski jednak nie stracił ochoty do rozmowy.

— Siłę ma taka miła, co panie inspektorze — mówił z podziwem — mogło chłopu, jak nic zabić. A on siedzi i krowy żałuje! No i co? Nie miałem racji, że to głupi naród.

**W**KRÓTCE wjechali do Lelowa. Włoska była na wpół spalona, ale w sadach nieodmiennie drzewa przesyły kwieciami, jak biało ubrane dziewczęta na uroczystość Bożego Ciała. Przy ścieżkach zieleniał szczypiorek, a z ziemi prostowały się, jak czerwone, pomłoty rączki noworodków, młode liście rabarbaru. Do gminy nie mogli trafić. Nigdzie żadnych objaśniających tabliczek nie było.

— Dobry człowieku, ej! gdzie tu ma być zebranie — z wysokości swego koźła zawołał Puskarski.

Zaczepony człowiek zatrzymał się.

— Zebranie — powtórzył — nie wiem o jakim zebraniu.

— No a gdzie tu mieszka wójt?

— No przecie, że tam — wskazał na jeden z domków, nie różniący się niczym od innych.

Bartłomiejczyk zszedł na ziemię i wybierając ledwie zaznaczone w błocie czubki kocich łbów, dotarł do drzwi wójta. Wyszedł mu na spotkanie mężczyzna wysoki, płowogrzybiasty, w barach szeroki, jak szafa.

— Zebranie — zafrasował się.

— Przecież zawiadomiliśmy was wczoraj przez gońca — rzekł Bartłomiejczyk.

— Tak, był tu — przytaknął wójt z zakłopotaniem — mówiłem o tem ludziom, ale... tego... ja wiem?, no... nie przyszli.

— Panie, chyba, jako wójt ma pan jakiś autorytet u ludzi — starał się przemówić do jego ambicji Bartłomiejczyk. Już raz zebranie nie przyszło do skutku, teraz znów nic z tego nie będzie? Nie, panie, ja stąd nie wyjadę, póki mi pan nie zwoła ludzi.

— Chodź pan — rzekł wójt po namyśle.

Zaprowadził go do jakiejś szopy, w której znajdowała się scena, oraz dekoracja z drzewami, przypominającymi pędzle do golenia, ustawione na sztorc, z ultramarynowym stawem i ptakami, które z szyj podobne były do łabędzi, a z kuprów do kaczek. Musiały się więc tu kiedyś odbywać przedstawienia, zapewne również i zabawy z bufetem i atrakcjami.

Bartłomiejczyk zostawiony sam sobie, usiadł na ławce i zamyślił się. Należał bowiem do tych ludzi, którzy potrafia się przejąć nie tylko własnym smutkiem. Był mocno wstrząśnięty tym, czego przed chwilą był świadkiem. — Tyle jeszcze biedy na świecie — myślał — tyle jeszcze bieda. A człowiek bezradny.

Dopiero po jakiejś godzinie zjawili się wójt w towarzystwie dwóch chłopów, a po jakimś czasie zjawili się jeszcze jakiś chłopina, który od razu usiadł przy oknie i zaczął wyglądać na dwór. I na tym się skończyło.

— Jakżesz to panie wójcie, tylko ty u was gospodarzy — zdziwił się Bartłomiejczyk.

— No nie — odparł tamten, nie chcąc przyjść. Mówią, że mają

robotę. Za łeb ich przecie nie ściągnę — dodał zaczepnie.

Bartłomiejczyk usiadł, wyjął papierosnicę i zaczął częstować. Brali. I bez wzdragań. Do tego nigdy nie musiał namawiać. Zaczęło się znów to, co zawsze. Namawianie. Przemawianie do serca, rozsądku, no i ręk, twardech chłopskich ręk przede wszystkim.

— My tam nigdy buraków nie sadzili, to na co teraz będziemy sadzić — odpowiedział na całe jego długie przemówienie mężczyzna długi i pochylony, jak żoraw studzienny.

— Przecież kiedyś trzeba pierwszy raz zacząć, moi drodzy — śmiało się, udając, że mu bardzo wesoło, Bartłomiejczyk. — Będziemy wam wszystkim służyć radą. Dostaniecie nasłona, nawozy A potem będziecie mieć cukier, wytkoki...

— Cukier — bąknął drugi, czerniawy, z łysiną prześwietlającą przez rzadkie włosy. — Dotąd piiliśmy przez cukru, to i teraz się obeździemy.

— A co potrzeba dla dzieciaków, to w sklepiku też się kupi — dorzucił ten, który wciąż wyglądał przez okno, jakby kogoś oczekując.

Bartłomiejczyk jeszcze się nie zniechęcał.

— Nie wiem, czy się orientujecie, że cukier, który otrzymacie, będzie się liczył nie na deka, i nie na kilogramy, ale na metry. Zaraz to udowodnię. Przypuśćmy, że ktoś zasiał, dajmy na to hektar buraków, i zbierze z niego, najskąpiej licząc, sto pięćdziesiąt kwintali. Nie jest to dużo, bo może zebrać przy dobrym urodzaju i dwieście pięćdziesiąt, ale ja liczę na początek skromnie. A więc otrzyma za to wszystko, licząc po 3,40 kg za q —

— „Jest obowiązkiem prasy teatralnej starać się skupić dążenia wszystkich ludzi, interesujących się pracą teatru i pragnących ją ocenić: i publiczności, która dyskutuje po spektaklu, i polityka kulturalnego, i recenzenta i literata. Jest również jej obowiązkiem dostarczenie tym wszystkim ludziom prawdziwych i obszernych informacji o życiu teatru” — to stwierdzenie artykułu redakcyjnego pierwszego numeru dwutygodnika „Teatr”, zakreśla prasie teatralnej zadanie niełatwe i oczywiście przekraczające możliwości jednego pisma. Niemniej, już 6 numerów cytowanego dwutygodnika, pozwala na stwierdzenie, że wysiłki zespołu redakcyjnego przynajmniej w zakresie informowania o naszym życiu teatralnym, wydają się w pełni owocne.

Strona informacyjna, szeroko i wyczerpująco wypracowana, obejmuje przede wszystkim sprawozdania i recenzje ze stołecznych i prowincjonalnych spektakli. Nie zapomniano przy tym o stałych scenach naszych mniejszych miast prowincjonalnych — o teatrze Bielska, Kalisza, Jeleniej Góry, czy Opola.

Obok recenzji teatralnych, nie ograniczających się bynajmniej do suchej sprawozdawczości, a będących często cennym przyczynkiem nie tylko dla teatrologa, lecz również wartościowym materiałem porównawczym dla aktorów i inscenizatorów, na uwagę zasługują rozważania z zakresu teorii i praktyki teatru. Wspomnieć należy choćby artykuł Edwarda Csato „O współpracy z autorem”, czy cykl „Rozważań Kreczmara „Z zagadnień realizmu teatralnego“.

Dobrze się stało, że na łamach „Teatru” postawiono wyraźnie problem widowni. Sloganowo brzmiące hasło — wychowywania widza — nie jest jednak hasłem papierowym jak nie gazetową wytyczną, jest sprawą rozszerzenia bazy kulturalnej. Stefan Lichański w rozważaniach „O widzu realności” („Teatr” nr 2) upomina się o przywrócenie znaczenia tekstu nie tylko na scenie,

510 kg, czyli ponad 5 metrów cukru.

— Pięć metrów — powtórzył z podziwem łysawy chłop, ale zaraz po chwili dodał — e, panie, to by i do samej śmierci było za wiele.

Bartłomiejczyk przelotnie pomyślał, że zamiast gadać tu do tych mężczyzn, lepiej by było zwołać zebranie gospodyń wiejskich i do nich to wygłosić płomienną przemowę o zaletach konfitur, galare-



tek, kompotów i innych przetworów owocowych. Nie mogąc swych słuchaczy zwabić na lep cukru, zaczął buraki reklamować od strony mniej słodkiej.

— Weźcie pod uwagę moi panowie, że buraki da się wyzyskać całkownie. Liście w postaci kiszonki lub suszu są doskonałą paszą dla bydła, tak samo wytkoki, które każdy plantator ma prawo pobrać z cukrowni. Są one tej samej wartości, co przeciętne siano, a jeśli

chodzi o jednostki karmowe, stoja nawet wyżej. Tak samo, jeśli chodzi o tak potrzebne dla bydła sole mineralne, wytkoki zawierają ich 40 g na kg, podczas gdy buraki pastewne mają tylko 8 g, zielona lucerna 22, trawa pastwiskowa 20...

Chciał dalej wyliczać, gdy podniósł się ów chudy człowiek, podobny w swym pochyleniu do żurawia studziennego i zawołał donośnie, jakby przemawiał na liczny zgromadzeniu i miał do pokonania gwar rozszemranego tłumu.

— Panie, my nie tacy durni, tu jeden dał swojemu koniowi takie coś, co wy nazywacie wytkoki, to jak konia sparił, jak koń dostał

tek, kompotów i innych przetworów owocowych. Nie mogąc swych słuchaczy zwabić na lep cukru, zaczął buraki reklamować od strony mniej słodkiej.

— Weźcie pod uwagę moi panowie, że buraki da się wyzyskać całkownie. Liście w postaci kiszonki lub suszu są doskonałą paszą dla bydła, tak samo wytkoki, które każdy plantator ma prawo pobrać z cukrowni. Są one tej samej wartości, co przeciętne siano, a jeśli

chodzi o jednostki karmowe, stoja nawet wyżej. Tak samo, jeśli chodzi o tak potrzebne dla bydła sole mineralne, wytkoki zawierają ich 40 g na kg, podczas gdy buraki pastewne mają tylko 8 g, zielona lucerna 22, trawa pastwiskowa 20...

Chciał dalej wyliczać, gdy podniósł się ów chudy człowiek, podobny w swym pochyleniu do żurawia studziennego i zawołał donośnie, jakby przemawiał na liczny zgromadzeniu i miał do pokonania gwar rozszemranego tłumu.

— Panie, my nie tacy durni, tu jeden dał swojemu koniowi takie coś, co wy nazywacie wytkoki, to jak konia sparił, jak koń dostał

Mówił tak jeszcze z godzinę. Odpowiadali mu po swojemu. Nie, nie była to dziez, jak o nich mówił Puskarski, ale ludzie, których odwieczna bieda nauczyła przymusowego oszczędzania, prymitywizmu, ludzie, którzy mu nie ufali na tej zasadzie, że jeśli ktoś do czegoś tak bardzo namawia, to widocznie ma zamiar oszukać. Albo mu więc wręcz zaprzeczali, albo uśmiechali się tajemniczo, jakby dając do zrozumienia, że nie uda się ich nabrać. Jeden tylko wójt nie zabierał w ogóle głosu. Nie przytakiwał, ani inspektorowi ani chłopom, a ponieważ twarz jego „nie wydzielala” żadnych wzruszeń, trudno było dojść, co właściwie myśli i czy w ogóle myśli.

Wyczerpawszy wszystkie argumenty, Bartłomiejczyk zaczął się zabierać do odjazdu. Był zdumiony, gdy chłop podobny do studziennego żurawia, ten właśnie, który mu najwięcej zaprzeczał, podszedł do niego, zgłaszając chęć zakontraktowania pół hektara buraków.

— No, zobaczymy — powiedział tylko.

Gdy Bartłomiejczyk wyszedł nareszcie na dwór, słońce zwiśło już nisko, jak różowa, gumowa piłka, wyrzucona zza horyzontu. Bryczkę otaczała gromada dzieciaków. Siedzący na swym podniesieniu Puskarski zdawał się tego nie dostrzegać. Palił papierosa za papierosem, migając srebrystością swej niesrebrnej zapalniczki. Bartłomiejczyk pomyślał, że Puskarski umyślnie to robi, by dzieciakom zaimponować, ale zaraz odsunął od siebie tę myśl, jako uwłaczającą tak godnej osobie, jak Puskarski.

Jechali szybko. Puskarski popędził konie, chciał bowiem minąć las jeszcze za dnia. W ostatnich czasach zdarzyło się tu kilka napałów i lepiej było się tu niepostrzeżenie nie pętać. Jednak, gdy wjeżdżali do miasta, dzień zaczął się już lekko mleszać z mrokiem.

Irena Dudek

## Sześć numerów „TEATRU”

lecz i na widowni. Ideałem widza — jest według Lichańskiego — człowiek, który z tekstem sztuki zapoznał się przed przedstawieniem, a nawet sięga do niego i w czasie spektaklu. Jest to może żądanie nieco wygórowane, a w najlepszym razie — sprawa dalekiej przyszłości, niemniej uwagi Lichańskiego znalazły rezonans w terenie, czego dowodem listy do redakcji „Teatru”. Sprawa widowni zajmuje się również Jarosław Karczewski („O bliższy kontakt z widzem” — „Teatr” nr 5), stwierdzając między innymi: „Zadanie teatru — to w pierwszym rzędzie troska o właściwy dobór repertuaru i o wysoki poziom artystyczny spektaklu. Główny natomiast ciężar trosk o wypełnienie widowni, o przekonanie robotnika do teatru, o wytworzenie właściwej atmosfery, w której teatr staje się istotną potrzebą w dziedzinie rozrywki kulturalnej, spoczywać powinno na działaczach kulturalno-oświatowych i aktywnie społecznym organizacji masowych, którym teatr powinien ułatwiać pracę w tym zakresie”. Oczywiście tylko wtedy możemy uznać pełną słuszność tych słów, jeśli przyjmujemy, że czynnikami decydującymi w zdobywaniu i wychowaniu widza jest kształt treści artystycznej, wyrażanej przez teatr. Batalia o widownię rozgrywa się przede wszystkim na scenie.

Problem widza łączy się ściślej z zagadnieniem repertuaru. O repertuarze mówi w krótkim artykule Wojciech Natanson, sygnalizując pojawienie się smiry na naszej scenie. Pojęcie smiry łączy Natanson ze świadomym wystawianiem przez teatr — utworów artystycznie bezwartościowych, w nadziei, że tym właśnie sposobem zyska poklask najniższej wyrobionego (mieszkańskiego, czy drobnomieszcząńskiego) widza. — Sprawa „smiry repertuarowej” słusznie łączy autor z zagadnieniem „smiry aktorskiej”, która jest jej „konsekwencją i rezultatem”. Do artykułów o repertuarze zaliczyć należy „Rozważania nad adaptacją” Zygmunta Grenia („Teatr” nr 5), wynurzenia odautorskie Ludwika Hieronima Morstina — „Jak pisałem sztukę

o Mikołaju Reyu” (j. w. nr 6), spostrzeżenia zawarte w recenzji „Z tajemnej wojny” J. A. Szczepańskiego (j. w. nr 4), lub w niektórych felietonach cyklu „Listy z widowni” i Listy ze sceny”. Niemniej sprawy dramaturgii, jako kluczowego działy zagadnienia dla naszego teatru, powinny znaleźć wszechstronnejsze omówienia, powinny wracać częściej na łamy omawianego pisma.

Nieco za mało, moim zdaniem, poświęca się uwagi i miejsca sprawom, związanym bezpośrednio z teorią reżyserii, inscenizacji i gry aktorskiej. Rozważania Kreczmara w ramach cyklu „zagadnień realizmu teatralnego”, wnikliwe i oparte na bogatej wiedzy, praktyce i materiale ilustracyjnym, jak również wspomniane już „Listy ze sceny”, to niewiele. Oczywiście, że sprawy te wpływają przy omawianiu poszczególnych przedstawień, niemniej są to uwagi cząstkowe, rozproszone w poszczególnych recenzjach i numerach pisma. Natomiast pomysłem szczęśliwym (Oby częściej na łamach „Teatru” realizowanym) jest analiza poszczególnych koncepcji aktorskich, przeprowadzana na podstawie ciekawszych wydarzeń teatralnych. Analiza ta ułatwia widzowi głębsze przeżycie artystyczne, pełniejsze zrozumienie postaci, a więc, w większości wypadków — ideologii sztuki, stając się ponadto materiałem do przemyśleń i dyskusji dla ludzi teatru. Dlatego też tego typu artykuły, jak na przykład „Eichlerówna” Edwarda Csato, czy „Dwie Wiewie Warren” J. A. Szczepańskiego powinny się w piśmie pojawiać częściej.

Szkoda natomiast, że nie zajęto się (po za krótkimi uwagami w ramach sprawozdań teatralnych) współczesną scenografią. Plastyka teatralna jest dziś często elementem jedynie pomocniczym, lecz w efekcie nie mniej ważnym, jak ruch i słowo. Dlatego szkoda, iż dotąd nie zabierano w tej sprawie głosu, że nie znaleźliśmy osobnego artykułu z tej dziedziny.

W cytowanym w wstępie fragmencie artykułu redakcyjnego, słu-

nie wybito informacyjną rolę prasy teatralnej o szerokim adresie społecznym. Trzeba przyznać, że redakcja „Teatru”, zdołała postawić stronę informacyjną pisma na naprawdę wysokim poziomie. Chodzi u nas równo o wszechstronność i dobór informacji z życia teatru w kraju i zagranicą, jak i o zawartość merytoryczną tych informacji. Przede wszystkim wspomnieć należy o zapiskach i uwagach Erwina Axera z pobytu w NRD, które nie tylko pozwalają nam na zapoznanie się z współczesnym teatrem demokratycznych Niemiec, lecz dostarczają również wiele cennego materiału porównawczego i dyskusyjnego. Na uwagę zasługują także „Wrażenia z wycieczki do ZSRR” Jerzego Pańskiego.

Należy mieć nadzieję, że w ten sposób zapoznamy się z teatrem pozostałych krajów demokracji ludowej, że zbliżone nam zostaną postępowe teatry Zachodu, co w pewnej mierze ma już m. in. na celu „Kronika zagraniczna”.

Parę słów należy poświęcić stronie graficznej czasopisma. Bogaty materiał ilustracyjny służy przede wszystkim, jako dopełnienie artykułów i recenzji, podkreśla ścisły związek rozważań teoretycznych z praktyką teatralną. Okładka, harmonizując z czołową reprodukcją, zwraca uwagę czytelnika na każdy nowy numer czasopisma.

Dobrze się stało, że otrzymaliśmy żywo i interesująco redagowany periodyk teatralny. Oczywiście 6 numerów, to za mało, by dostarczyć materiału do pełnego i zamkniętego omówienia, dlatego zarzuty nie są z uwagi na młody wiek czasopisma — zarzutami, zaś zachwyty łączyć się muszą z nadzieją na przyszłość. Pozostaje życzenia, by nasze teatry i nasza produkcja dramaturgiczna były w swoim zakresie również bliskie ideału, jak (reprezentowana przez jedno tylko pismo) nasza prasa teatralna.

(szcz)

Leon DWERNICKI

W BLASKU PRZESZŁOŚCI (1)

# PIERWSZE C

„Nie podzielam takiego optymizmu”, powiedział prof. Czesław Olszewski, „nam zdaje się tylko, że znamy nasz kraj i jego zabytki”. Usiłowałem zaprzeczyć, ale profesor rzekł: „Czchów, Czarnca, Czerwińsk”.

Czchów! nawet wymówić trudno, i cóż jest tam godnego podziwu?

Ale przede wszystkim gdzie on się znajduje? Czchów, Czchów — nic, pustka. pamięć widocznie zawodzi, nagle błysk — Dunajec — zaporą! To nie jest jednak pamiątka historyczna, o której profesor twierdzi, że przechodzi się koło niej nie widząc nawet jej piękna i wartości.

Czarnca — tu już trochę lepiej, miejsce urodzenia i wiecznego spoczynku hetmana Czarnieckiego. Mało, ale już coś.

Czerwińsk? — chwila namysłu, leży nad Wisłą, piękny kościół, mury klasztorne fundowane przez Piotra Dunina, sławnego fundatora kościołów i klasztorów za Bolesława Krzywoustego. Czerwińsk to miejsce modłów Jagiełły w marszu na bój z Krzyżakami... I to już wszystko. Zasób wiadomości niezbyt bogaty.

„A tam są skarby architektury i sztuki kościelnej, okolice pełne wspomnień historycznych. Więc radzę pojechać, nie będzie pan żałował”.

Pojechałem. W ten sposób powstała seria reportaży: Czchów, Czarnca, Czerwińsk.

**S**AMOCHÓD ze zgrzytem zatrzymał się na szosie” albo „Po obu stronach drogi ciągnęły się rzędy chat, bielone ich ściany lśniły w słońcu jak zęby narzeczonej z „Wesela” — w ten sposób rozpoczęto już setki reportaży krajoznawczych i banał tych wstępów bije w oczy. Zresztą co było dobre A.D. 1947 jest już przestarzałe w roku 1952. Zgrzyty samochodów, zapelniające reportaże od 25 lat, są dziś nieaktualne, gdyż autobusy PKS zatrzymują się na szosie: Kraków — Czchów — Nowy Sącz bez wstrząsów i zgrzytów.

Pomysł drugi niewiele lepszy; łatwo powiem można wykazać, że „chat lśniących jak zęby” jest już tyle w Polsce, że można by nimi trzy razy świat opasać, należy go więc wycofać choćby i z tego względu, że w dobie obecnej, wiek narzeczonej jest nie do określenia. Znałem jedną — miała lat 60 i była narzeczoną. O ząbkach lepiej nie mówić! A więc po prostu.



Freski z XV w. w kościele w Czchowie.

fol. prof. Cz. Olszewski

## RYNEK I PODCIENIA

**P**RASTARY Czchów, jego rynek i kościół leżą na zboczu wzgórze, aż dziś jak się to wszystko utrzymało i nie poleciało w nurty Dunajca.

Od szosy wiejska droga wyprowadza wprost na rynek, do niedawna jeden z najdziwniejszych rynków, jakie można było ujrzeć w Polsce.

Wygląda to tak, jak gdyby ktoś chciał na jabłku poustawić domki. Wybrukowany kamieniem polnym rynek „wypina się” na wędrowca przybywającego od strony szosy.

Wspinając się po jego wypukłościach, dociera się do ukrytej pod namiotowym daszkiem, wspartym na czterech filarach, drewnianej figury św. Jana Nepomucena lub w po-

bluże kamiennego posągu św. Florianiana. I tu chwila rozczarowania.

Czworoboczny rynek, słynny z tego, iż obramowywały go stare, drewniane domki, posiadające od frontu wsparte na słupkach podcienia, które łącząc się ze sobą, tworzyły swego rodzaju baldachim wokół rynku, uległy już znacznemu zniszczeniu.

Rynek utracił część swego uroku. Wprawdzie stoją jeszcze drewniane domki na wysokich podmurowaniach i z rynku wchodzi się do nich po kamiennych schodkach, wprawdzie kilka w ostatnich czasach spalonych domów, urząd konserwatorski odbudować kazał z podcieniami, ale całość nie tworzy już harmonijnej jedności, a brzydki murowany budynek spółdzielni oraz wybudowany niedawno nowoczesny dom tworzą już tylko przykry zgrzyt w tej ogólnie pięknej, drewnianej architekturze.

Nie zawsze jednak rynek był tak zaniedbany, na pewno wyglądał lepiej gdy był centralnym miejscem

zy szczęśliwie przyjechały do Czchowa i kiedy będą w Krakowie?” A i kupcy krakowscy mogliby też wiele o Czchowie powiedzieć, i dopomóc do odbudowy jego pięknej przeszłości historycznej, trudność jednak polega na tym, że aby tego dokonać należałoby powołać świadków z XIII — XVII wieku.

Skoro jednak wkroczyliśmy w królestwo historii, uszanujmy jej prawa i nie walczmy z chronologią — stworzenie bowiem historycznego chaosu może być zębne nie tylko dla czytelnika, ale i dla autora tego reportażu, który z dziejami Czchowa jest już na „ty” i nie chciałby skrzywdzić i tak już przez wieki skrzywdzonego miasteczka.

W epoce Bolesława Chrobrego Czchów czuje się już jak u siebie w domu.

Ponoć stał tu wówczas gród drewniany nad wylotem Dunajca, pilnujący ważnego traktu handlowego, który z Krakowa wiodł doliną Dunajca na Węgry. Wieża, a wówczas stróża, położona na spadzistym pagórku, dawała dobry wgląd w teren, a załoga jej nie jeden raz zapewne śpieszyła z pomocą kupcom, których ładowne wozy, pełne towarów i beczek wina węgierskiego, były zbyt nęcące dla zbójców, by uderzeniami maczug nie pozbawić właścicieli przytomności, a wozów ich zawartości.

Warto również odnotować w pamięci, że w roku 1288 za panowania Leszka Czarnego, Czchów zaliczony jest do posiadłości opactwa tynieckiego.

## KRÓLEWSKIE KŁOPOTY SPADKOWE

**P**O 72 latach dzięki temu, że sprawy spadkowe w XIV wieku były równie zawiłe, jak i w wieku XX, tak że i królom nie łatwo było rozciąć ten węzeł gordyjski, który jest wyrazem ostatniej woli jednej, a początkiem nie kończących się kłopotów drugiej osoby, Czchów otrzymuje dokument nie byle jakiej wartości. Pieczętuje go i podpisem stwierdza Kazimierz Wielki.

Po śmierci bowiem swej matki Jadwigi Łokietkowej, król Kazimierz Wielki odziedziczył Czchów wraz z prawem patronatu nad kościołem parafialnym. Nie wszystko tam jednak musiało być w porządku z tym spadkiem i dziedziczeniem, skoro kilku rycerzy zgłosiło przed królem i jego radą swe pretensje do części patronatu. Król rozpatrzył sprawę i przyznał tym rycerzom połowę prawa patronatu nad kościołem parafialnym.

Wspaniały to był dzień dla Czchowa. Wielki król stwierdził, że prawo poważa. Działo się to pierwszego listopada A.D. 1360.

## POWÓDZ PERGAMINÓW

**Z**APOBIEGLIWI musieli być ci czcigodni mieszkańcy Czchowa, skoro w ciągu wieków potrafili nagromadzić co niemiara dokumentów i przywilejów królewskich.

W gromadzie Czchów znajduje się pismo z dnia 22 czerwca 1919 r. w którym czytamy: „Dyrekcja Archiwum Krajowych Aktów Grodzkich i Ziemijskich w Krakowie przejęła na trwałe przechowanie archiwalia miasta Czchowa”.

Przyznać należy, że zbiór ten jest nie mały, gdyż zawiera 38 dokumentów pisanych na pergaminie, 9 starszych ksiąg cechowych i dwie pieczęcie. Tyle się uratowało, a ile zaginęło?

Serię tych pergaminów rozpoczyna dokument, w którym Spytko z Melsztyna potwierdził przywilej młynarzowi czchowskiemu, sporządzony w Melsztynie 25 listopada r. 1393 i za-



Kościół w Czchowie

fol. prof. Cz. Olszewski

opatrzony w pieczęć wiszącą. W drugim dokumencie z roku 1442 Marek, dziedzic z Kęt, czyni zapis na kościół N.M.P. w Czchowie.

Najbardziej jednak o obrotności czchowian świadczy to, że zdołali oni w ciągu niezwykle krótkiego panowania króla Henryka Walezego wydstać od niego w r. 1574 trzy dokumenty potwierdzające prawa i przywileje m. Czchowa oraz statuty cechu sukienniczego i szewskiego. Jak widać, królowi, który miejsca nie zagrażał na tronie polskim, a myślał jedynie, jak z powrotem dostać się do Francji, Czchów nie dawał spokoju.

## WODOCIĄGI Z XVI WIEKU

**W**YSOKO dzierżyli głowę czchowianie, bo i handel rozwijał się, cechy się bogaciły, a gród, który jeszcze Kazimierz Wielki murem obwiodł i prawem niemieckim obdarzył, posiadał już wodociągi!

Jeśli zważy się, że dziś Czchów ma jedną studnię, która znajduje się na plebanii i obsługuje całe miasteczko, to z podziwem należy patrzeć na czyn Tomasza z Bochni, który własnym kosztem sporządził kanały i wodociągi, a zbiornik na wodę na rynku wymurował.

Król Zygmunt I uznając doniosłość tego „racjonalizatorskiego” czynu Tomasza, postanowił w r. 1545 wieczyste trwać mający podatek „od łaźni, piwowarów i wszystkich mieszkańców Czchowa nałożyć”. Po zwróceniu Tomaszowi kosztów, połowa nałożonego podatku miała być użyta na konserwację wodociągów, druga zaś dożywno wypłacana budowniczemu.

Jak długo przetrwały wodociągi i łaźnie, historia milczy, dziś ani pierwszych ani drugich Czchów nie posiada, na rynku pozostał tylko pusty zbiornik! Woda więc w Czchowie jest na wagę złota. Widocznie wzgórze posiada skaliste podłoże, bo wszelkie usiłowania wykopania studzien, po dziś dzień zawiodły. Czyż można więc się dziwić, że pożary w Czchowie są na porządku dziennym. Podczas ostatniego pożaru, zagrożony został bezcenny zabytek Czchowa kościół, gdyż iskry sypały się na dach świątyni.

## KLEJNOT GOTYCKIEGO BUDOWNICTWA

**R**OZPADŁY się mury i fosy obronne, jedyna baszta na wzgórzu sypie się w gruzy, rynek uległ zniekształceniu, pozostała stara gotycka świątynia.

Trudno określić ściśle wiek kościoła, skoro jednak Jadwiga Łokietkowa przekazuje Czchów synowi Kazimierzowi wraz z prawem do patronatu nad kościołem, sądzić więc

należy, że kościół istniał już w XIV wieku. Czy istniał wcześniej, czy został zbudowany na miejscu dawnej gontyny słowiańskiej, czy jak chcą inni na miejscu dawnego kościoła romańskiego, trudno stwierdzić. Jest jednak faktem, że podczas ostatniego gruntownego odnawiania kościoła odkryto, iż stoi on na dość płytkich fundamentach. Nie znaleziono także śladów murów romańskich.

## POLICHROMIA, CHRZCIELNICA I NAGROBKI

**S**ŁOŃCE kwietniowe praży nie na zarty, jeszcze bezlistne drzewa nie dają ochrony, chropowate kamienne bryły w murach kościoła zwycięsko jednak odpierają inwazję promieni.

Cicho skrzypnęły, umieszczone w kamiennym portalu gotyckim, modrzewiowe drzwi, okute żelaznymi gotyckimi ozdobami. Powiało chłodem. I oto wewnątrz prastarej świątyni.

Całe prezbiterium dwuprzęsłowe, zamknięte prostą ścianą, sklepioną krzyżowo, z żebrami i wspornikami w formie maskaronów, pokryte jest polichromią z XIV wieku. Przedstawia ona sceny z życia Chrystusa i Matki Boskiej, jedną ze ścian przecina fryz ze scenami Męki Pańskiej. Polichromia, odsonięta w r. 1926, po odbiciu tynków, pokrywających ściany, jest dziś jednym z nielicznych tego rodzaju zabytków sztuki kościelnej. Fryz ze scenami Męki Pańskiej powinien być przedmiotem badań znawców, gdyż wnosi on nowe i dotychczas nieznanne momenty z ostatniej drogi Pańskiej.

Ołtarz główny zdobi obraz Matki Boskiej z Dzieciątkiem, malowidło to pochodzi z XVII wieku.

Dwa renesansowe nagrobki Kacpra Wielogłowskiego (zm. 1564) i jego żony, to dalekie zabytki odległej przeszłości.

Archaiczność świątyni podnosi jeszcze kamienna chrzcielnica gotycka z r. 1506.

Świątynia nie jeden raz była odnawiana i przebudowywana przez różnych domorosłych artystów, którzy zacierali raczej niż podnosili antyczne jej piękno. Dziś dzięki rozumnej pracy konserwatorów, kościół wraca do swego pierwotnego wyglądu.

★

Za pół godziny autobus ukaże się na zakręcie szosy, zatrzyma się w kłębach pyłu, a młoda konduktorka z uprzejmym uśmiechem zawoła: „Ci co mają delegacje służbowe wsiadają pierwsi”, więc czas już iść, jeszcze ostatnie spojrzenie na rynek, na figurę św. Jana Nepomucena — „żegnaj”, wszak tu już nie wróćę

Leon Dwernicki



Halszka KRAJEWSKA

Z DYSKUSJI NAD RODZINĄ

WIECZORY POD LIPĄ

## RODZINA NA PRZEŁOMIE

AMIESZCZONE w poprzednich numerach wypowiedzi dotyczyły przede wszystkim tych elementów wchodzących w zakres problematyki rodzinnej, które ustawiały wyraźnie zagadnienie współczesnej rodziny katolickiej<sup>1)</sup> oraz roli i znaczenia małżeństwa jako jej źródła i podstawy<sup>2)</sup>.

P. Halszka Krajewska wraca do punktu wyjścia, t.j. do artykułu zagajającego dyskusję i polemizuje z autorką w sprawie trudności, jakie współcześnie musi przezwyciężyć rodzina, znajdująca się niewątpliwie w okresie przełomowym.

NAWIĄZUJĄC do rozpoczętej przez W. Żuromską dyskusji na temat rodziny, (Dz. i J. nr. 9 b.r.) zanim rzucę garść swoich przemyśleń i uwag, chciałabym pokrótce uzupełnić to, co zostało już powiedziane i podkreślić pewne sprawy.

W. Żuromska w swoim zagajeniu stanowczo za mało uwypukliła wielorakie trudności, z jakimi zmagają się współczesna rodzina znajdująca się niewątpliwie na przełomie i to nie tylko pod względem ekonomiczno-społecznym.

Żuromska kładzie silny nacisk na wyższość kobiety poza dom. Na jej równorzędny z mężczyzną wysiłek w celu utrzymania rodziny.

Czynnik ten odgrywa bezspornie zasadniczą rolę w przemianach, jakim podlega organizacja rodziny. Musimy sobie zdawać sprawę, że praca kobiet poza domem posiadających rodzinę, obecnie, w okresie wyjątkowej produkcji dotyczy ogółu kobiet.

To, że będzie się dziś zmierzało raczej do „odciążenia kobiety od zajęć domowych niż od usuwania jej z pracy zawodowej“ jest faktem oczywistym, na który każdy myślący człowiek musi się zgodzić. Problem zatem rodziny w tym nowym układzie jest nie do pominięcia.

Jako zagadnienie istotne wysuwa Żuromska pytanie: „Czy niewątpliwym kryzysem, jaki przeżywa „ognisko domowe“ jest w istocie kryzysem rodziny, czy też niezależnie od chwilowych trudności na tym terenie i do czasu stworzenia większego zasięgu instytucji pomocniczych, kryzysem pewnej formy życia rodzinnego“?

Autorka artykułu częściowo odpowiada sama na to pytanie twierdząc, że kryzys rodziny nie należy rozumieć w sensie jej rozpadu, ale w sensie szukania nowych jej form i w sensie oczekiwania jeszcze na zupeł-

ne zorganizowanie instytucji pomocniczych, zastępujących „gospodarstwo domowe“.

Mówiąc o konieczności pomocy współczesnej rodzinie w gospodarstwie domowym stanowczo nie docenia jednak Żuromska konieczności pomocy w zapewnieniu dostatecznej opieki dziecku i młodzieży w czasie pracy ojca i matki. Trudności na tym polu wykraczają poza trudności jedynie gospodarstwa domowego i posiadają większy ciężar gatunkowy. Wiemy, że instytucje pomocnicze nie są jeszcze na tyle rozbudowane, aby tę pomoc zapewnić wszystkim rodzinom i wiemy z drugiej strony, że ani szkoła, ani żadna instytucja społeczna nie zastąpi w zupełności wychowania w rodzinie. Otóż należałoby dążyć, zarówno w interesie państwa jak i rodziny, bo te interesy są tutaj wspólne, aby praca zawodowa i społeczna rodziców a szczególnie kobiet-matek nie kolidowała z obowiązkami rodzicielskimi.

Mówiąc o „rozproszeniu przestrzennym rodziny“, o jego dodatnich społeczniczących czynnikach nie wspomina Żuromska o wielkim niebezpieczeństwie tego rozproszenia — zatrącenia atmosfery rodzinnej. Rozproszenie to nie może być tak duże, żeby rodzice nie wiedzieli co robią przez cały dzień ich dzieci. Kontakt między członkami rodziny musi być zachowany, a kontakt ten wymaga pewnego minimum czasu przebywania razem w zespole rodzinnym, aby ten zespół mógł oddziaływać na siebie. Jest to konieczny warunek zarówno dla życia się małżonków jak i dla wychowania dzieci, którym atmosfera rodzinna jest nieodzownie potrzebna. Jeżeli część członków rodziny „odwiedza dom od czasu do czasu“ jak pisze Żuromska, to trudno wtedy mówić realnie o życiu rodzinnym. „Powinniście dobrze orientować się, co robi, gdzie przebywa wasze dziecko, jakie jest jego otoczenie...“ pisze Makarenko w swojej, znanej już u nas książce: „Wychowanie w rodzinie“.

Trudno też wyobrazić sobie zrealizowanie tej „solidarności“ rodzinnej o której mówi Żuromska, że jest „elementem zasadniczym“ wiążącym rodzinę, jeżeli się nie podkreśli, że ta solidarność rozwija się przez wspólne obcowanie, wspólną pracę w domu, wspólną rozrywkę i wymianę myśli, a więc skupianie, a nie rozpraszanie rodziny. „Całe gospodarstwo rodzinne powinno być gospodarstwem zbiorowym, prowadzonym w sposób spokojny, bez nerwowości“. Cytuję znowu popularnego już u nas Makarenkę.

Ten spokojny, zorganizowany sposób współpracy dla wspólnego domu, tak doniosły w dziele wychowania i uspołecznienia dziecka, a jednocześnie w dziele budzenia solidarności ze społeczeństwem rodzinnym nie da się pogodzić z nadmiernym rozproszeniem rodziny, które nie sprzyja ani harmonii gospodarstwa rodzinnego, ani nie zapewnia tego spokoju, który jest warunkiem nieodzownym do wychowania zdrowego psychicznie, dzielnego obywatela kraju.

Mimo przełomu na jakim znajduje się rodzina, musi ona za wszelką cenę, kosztem może nieraz wielu poświęceń ze strony jej członków utrzymać w imię dobra przyszłego pokolenia nastroj spokoju i równowagi wewnętrznej.

Patrząc na przeobrażanie się rodziny, związane ze zmianą warunków ekonomiczno-społecznych w momencie jej przeistaczania się i organizowania trudno zdobyć się już obecnie na całkowity jej obraz. Widzimy na razie te przemiany w pełnym ruchu, patrzymy na ewolucję rodziny, która nie zlapała jeszcze pełnego oddechu. Kiedy proces przeobrażania się rodziny, związany z warunkami społeczno-ekonomicznymi dojrzeje, będzie wówczas można mówić konkretnie o nowej formie rodziny.

Okres tych przeobrażeń jak wszelki okres przełomu nie jest łatwy. Wymaga wiele wysiłku a nierazko ofiar i poświęceń. I mówiąc realnie o dzisiejszej rodzinie trudno te sprawy pominąć milczeniem. Należy podkreślić, że w dzisiejszym ustroju nie istnieje szansa na zawieranie małżeństw dla majątku, co niewątpliwie uzdrawia atmosferę moralną rodziny.

Następna wypowiedź na temat współczesnej rodziny na łamach Dz. i J. Zbigniewa Marcza p.t. „Drogi i rozdroża współczesnej rodziny“ (Nr 12 b.r.) kładzie główny nacisk nie na przemiany ekonomiczno-społeczne, jako źródło przeistaczania obrazu rodziny, ale szerzej omawia sprawę kryzysu wewnętrznego rodziny, stosunku wzajemnego do siebie małżonków, odpowiedzialności w małżeństwie „za przyszłość dzieci i wspólne małżonka“.

Słusznie podkreśla Marczak, że zagadnienia rodziny ciągle „nie doceniamy należycie“. Kultura małżeńska i rodzinna jest u nas stanowczo za mało pielęgnowana.

Jeżeli porównamy prasę katolicką francuską z ostatnich lat w której roi się od problemów rodzinnych jak: organizacja rodziny w świecie nowoczesnym, zagadnienie połączenia pracy kobiet w domu i poza domem, wychowanie dziecka, stosunek autorytetu męża do autorytetu żony w małżeństwie, pożytki seksualne małżonków i t.d. i t.d., widzimy wówczas jak u nas te problemy mało są przemyślane i dyskutowane. Szczególnie katolicy, dla których małżeństwo jest instytucją nierozdzielalną, a więc decyduje nieodwołalnie o losie całego ludzkiego życia a pośrednio i o losie następnego pokolenia, muszą bardziej niż inni pielęgnować kulturę małżeństwa, której wyrazem jest troska o los dwóch pokoleń.

Szczęście dwóch generacji ludzkich jest olbrzymią wartością, o którą chyba należy walczyć.

Stefan Lichański

„Dusza smutkami okolna“  
czyli  
sposób na poetów

PRZED kilku dniami odwiedził mnie pewien młody poeta. Przyniósł „skromną część“ (jego własne słowa) swego dorobku (tak na oko licząc mniej więcej dwa i pół kilo rękopisów), no i oczywiście prosił o wydanie opinii, radę, pomoc, i tak dalej, i tak dalej, jak to zwykle bywa w takich wypadkach. Żalonym okiem patrzyłem na stertę płodów twórczego ducha, aż nagle przyszedł mi do głowy szczęśliwy pomysł.

— Proszę pana — powiedziałem — przeczytam chętnie pańskie wiersze, ale niech pan tytułem rewanżu zabierze się do lektury tych dwu ksiązek.

I wetknąłem mu w rękę antologię Boga „Młoda Polska“ oraz „Wybór poezji Młodej Polski“ Feldmana. Poeta zdziwił się nieco. Popatrzył na swoje rękopisy, popatrzył na wręczone mu książki, wziął je, pożegnał się i poszedł.

Wrócił po dwu dniach. Wyglądał okropnie: nieogolony „wzrok dziki, suknia plugawa“.

— Tego niepodobna czytać! — oświadczył z miejsca.

— Dlaczego? — zapytałem niewinnie, sięgając równocześnie po ciężki przycisk, aby mieć w rękę jaki taki oręż, gdyby doszło do bijatyki. Ale on popatrzył tylko złowrogo, otworzył jedną z pożyczonych mu przeze mnie ksiązek i zaczął czytać:

O, serce godne pogardy!... O wężu  
w czułość zwinęty!  
zdlaw łyż, co trawia mięta w pawężu  
i w błyskawicznym piorun rzuć  
krwią uśmiechnięty“... rozprzęż.

— Piękne, prawda? — zapytał ze zjadliwą ironią.

— No cóż... — bąknąłem.

Wzruszył ramionami, przerzucił kilkanaście kartek i odczytał następujące strofy:

Wy którzy z lękiem myśli odpychacie  
O szlakach nowych dla Ducha dróg,  
Spłonieć w nlemego wstydu szkaradzie,  
Nim obaw, zwątpień miniecie próg.  
Są cele jasne, jak ten blask słońca  
Są drogi preste do złotych zór.  
Ten pyta, wątpli, liczy bez końca,  
Kto na dnie serca ma nędzny kurz.

Skończywszy lekturę popatrzył na mnie pytająco.

— Bardzo szlachetna myśl — powiedziałem, starając się mieć minę jak najbardziej serio. — Przypominam mi to pewien utwór Tuwima. Ten, w którym jak refren powracają słowa „Hen, dajmy w świat“. Pamięta pan?

Zazgrzytał zębami, ale opanował się i wrócił do antologii Feldmana:

Błędne było życie moje,  
Błędny jego kres:  
Marzeń roje — niepokoje  
I krynicie łez.  
Słabie-m wlni i nikogo:  
Nieszczęśliwa gra!  
Inną drogą płynąć bogo —  
Moja ścieżka zła.

Tym razem nie pozwoliłem mu przyjąć do słowa:

— Co za bogactwo rymów! — zawołałem z entuzjazmem. — Co za melodia! Spiewna, kotyszcząca... Dźwięki fujarki pastuszej...

Złowieszczy pomruk wydobywający się z gardła mego rozmówcy skłonił mnie do zamknięcia. Nieszczęsny zaś poeta odłożywszy Feldmana sięgnął po Boga i czytał:

Śród huku i świstu przy oknie  
Młodziczka turystka przystaje,  
O szybę oplera swe wiotkie ramiona —  
zwieszona

Zaduma na czole, westchnienie śród łona  
A czy — dwie głębie, dwa raje!

— No widzi pan! Co za plastyka, co za obrazowość! A to o oczach...

— O oczach? Mało panu jeszcze? A zatem służę:

— Pani! u stóp twych nabożną myśl  
Ale mam duszę smutkami okolną;  
W oczu twych dwójną patrzając  
Myślę, że przecież mi kochać nie wolno!

— Zaraz, chwileczkę. Niech pan pozwoli upoic mi się czarem tej strofy. „Dusza smutkami okolna“... Przecież to jedno powiedzenie starczy za dziesięć poematów.

— Starczy — warknął poeta i porócił do przerwanej moimi uwagami lektury:

Znowu wracam do domu o świcie,  
Idę sennie, chwiejnie przez ulicę,  
Mógł mi krwawia bólu błyskawice; —  
Ranny wiatr żre mię jadawicie  
Szum mam w uszach, usta pełne  
Znowu wracam do domu o świcie.

— No, to już niewątpliwie realizm — mówiłem spokojnie i rzeczowo. Bo przecież poeta nie porzasta za samym odtworzeniem nastrojów „katzenjammeru“, ale otwiera przed nami perspektywy tego stanu, rzecz można, metafizyczne.

— Pan lubi poezję o takim... hm... metafizycznym wygłosie?

— O tak! — zawołałem z emfazą.

— To niech pan słucha:

Ciągną mnie zła stinksowe lice —  
Ciągnie płomiennie-czarna toń —  
Jej niezgłębione tajemnice —  
Jej świetne, ostre błyskawice  
I rudej szerści dzika woń.

— Piękne. Płomiennie-czarna toń o rudej „szerści“. Czy kto z was potrafiłby...

— Nie, na pewno nie — przerwał mi niegrzecznie poeta. — I już chyba wystarczy. Oto pańskie książki. Poproszę o swoje rękopisy. — Pańskie rękopisy? Jeszcze nie zdążyłem dokładnie przeczytać. — Niech się pan nie trudzi. Ta lekcja była dobra. Będę ją pamiętał do końca życia.

— Jaka znowu lekcja? Czyż pan przypuszcza...

— Ech, panie Bogumile! Nie taki ja głupi na jakiego wyglądam, jak mawiał Plato do swoich uczniów (To cytat z Conrada). Niech pan raczej posłucha, co we wstępie do swojej antologii pisał na temat ówczesnej poezji Feldman: „Wystrelili cały las imion nowych, las gesty, wonny a wysokopienny; śpiewu pełen i blasków i ciemni; tajemnic pełen i cudów — świątynia potężna, w której Poezja, nie dawno jeszcze kopciuszek wzgarazony, azisaj taski rozlewa krolewskie... A garną się do niej ludzie, garną, jeszcze nie gromady łumne, których pełno na dusznych nizinach, ale zawsze chórami tysięcy pielgrzymów, ale zawsze sercami i modłami“.

Jak pan widzi, proza godna tej poezji. „Las imion“ — „wonny a wysokopienny“. Minęło pięćdziesiąt lat i ten „wonny a wysokopienny“ las przemienił się w cmentarz. Gorzej: w panoptikum, w muzeum poetyckich dziwolągów. Na palcach policzy pan zawarte w tej antologii wiersze, które przetrwały próbę czasu. Przeczytałem, pomyślałem — i mam dosyć. „Inną drogą płynąć bogo — moja ścieżka zła“. Toteż opuszczam ją. Od jutra idę pracować przy budowie metra.

I poszedł. Szczęść mu Boże!  
Bogumił Kolec.

## Tragiczny prekursor

(Dokończenie ze str. 1)

dliwość społeczną. Poszli oni dalej niż Hello, nie zmienia to jednak faktu, że on właśnie był tym, który pierwszy odważył się podjąć tę problematykę.

Już ten sam fakt uzasadniałby w zupełności bliższe zainteresowanie się jego twórczością. Ale przecież Hello to przede wszystkim misjonarz wiary heroicznej, apologeta świętości. „Od dawna — pisze on w szkicu „Honor“ — zła wola i głupota zmówiły się, aby nadać cności i wygląd niedołężnego mazgajstwa i nużącej bezbarwności. Nikt nie domyśla się, jak daleko sięga niebezpieczeństwo takiego błędu. Nikt nie domyśla się, do jakiego stopnia ludzkie spagnieni wielkości odstręczają bywają od Boga przez małe księżki, które Go czynią małym“. Słowo Hello nie pomniejszało Boga i prawd wiary, którym służyło.

Słowo to odzyskuje na nowo aktualność w naszej epoce jako wyraz religijnego i moralnego maksymalizmu. Jest bowiem i zechcą jasną i oczywistą, że rola katolicyzmu w procesie wielkich przeobrażeń historycznych, jakie obecnie przeżywamy, będzie tym donioślejsza, tym bardziej pozytywna zarówno w perspektywie ostatecznych celów ludz-

kości jak i w perspektywie konkretnych rozwiązań problematyki naszego czasu, im głębszą i ofiarniejszą będzie nasza wiara.

Hello widział w historii realizowanej przez jego współczesność sprzeczność i dlatego wyrzekł się historii. Nie jest to jednak powód wystarczający do odrzucenia go przez nas. Droga do tego, co ponadhistoryczne, ponadczasowe, droga do Królestwa Bożego prowadzi przez historię. Rozumiemy to lepiej niż pokolenie, do którego należał Hello, i niż pokolenie, w którym zyskał spóźnioną, pośmiertną popularność. Chcemy to wszystko, co dziś jest ważne i żywotne w spuściźnie pisarskiej Hello, oddzielić od tego, co należy do zamkniętej już przeszłości, i wykorzystać dla własnego rozwoju.

Hello usiłował odejść od historii, ale przed historią uciec niepodobna. Dziś, na określonym etapie swego rozwoju, upomina się ona o niego, chwytając jego myśl w swoje tryby, umieszcza ją w nowym kontekście idei i wydarzeń, nadając jej tym samym nowe znaczenie i nowe życie.

Leszek PROROK

# 75-lecie „Balladyny” na scenie poznańskiej

NOWA inscenizacja „Balladyny” w Państwowym Teatrze Polskim w Poznaniu zbiegła się niemal dokładnie z jubileuszem 75-lecia poznańskiej prapremiery tragedii Słowackiego. Fakt ten, ważny w dziejach kariery scenicznej dramatów Juliusza, został na ogół przeoczony. Nie wspomina o nim ani afisz, ani program teatralny, milczy pokłósie recenzyjne.

Słowacki nie ujrzał inscenizacji żadnego ze swych dzieł. Książkowe wydanie „Balladyny” ukazało się w 1839 r., w pięć lat po ukończeniu tragedii, i poza życzliwą, nieprzedawnioną oceną Zygmunta Krasinśkiego, wywołało złośliwe napaści krytyków z osławionym St. Ropelewskim na czele. Prapremiera sztuki odbyła się we Lwowie dn. 7.III.1862 r., a więc w 18 lat po zgonie poety. W r. 1868 wystawia „Balladynę” Kraków, a w dn. 10 lutego 1877 r., jako trzecia z kolei scena, Poznań na pięć lat przed Warszawą. Daty te to pierwsze kamienie milowe drogi przepowiedzianych przez Juliusza zwycięstw za grobem. „Balladyna” poznańska stanowi zarazem jeden z pierwszych sukcesów młodego podówczas Teatru Polskiego.

Przeoczenie rocznicowe zostało zawiązka wyrównane staranną i twórczą inscenizacją. Realizatorzy poznańskiego przedstawienia\*) stali się raz jeszcze odczytać złożony sens dzieła Słowackiego.

Trudności w ustaleniu koncepcji inscenizacyjnej „Balladyny” wynikają nie tylko z wielowarstwowej problematyki dzieła, lecz i z technicznych warunków pracy teatralnej. Utwór olbrzymi, nawet po dokonaniu niezbędnych skrótów przedarsta rozmiarem przeciętne przedstawienie, jest sztuką niełatwą, wymagającą natężenia uwagi u odbiorców. Mimo że repertuar klasyczny korzysta ze szczególnych uprawnień w zakresie władzy pracy i pietyzmu ludzi sceny, jak również nastawienia widza, znaczne skróty w tekście są koniecznością. Kryteria skrótów decydują w dużej mierze o tym, na jakiej treściowej płaszczyźnie utworu spocznie punkt ciężkości.

Balladyna i Lilla Weneda stanowią dwa ukończone ogniwa zamkniętego cyklu obrazów dramatycznych z legendarnych dziejów Polski. Zamiar twórczy zatem przesądzał silnie podkreślenie pierwiastka politycznego w utworze, choćby nawet, zgodnie ze słowami listu poety do matki, tragedia cała była... „przeciwna podobieństwu do prawdy”. Krwawe zamieszki w rodzinie Popielidów, korona pustelnika — symbol jedności i ciągłości państwa Lechitów, podjęcie przez feudalnego wasala, Kirkora prób restytucji władzy Popiela III, a wreszcie gnieźnieński dwór i kontrast między obyczajowością publiczną Lechitów, walorem praworządności, a rządami terroru, jakie w czasie krótkiej władzy stosuje Balladyna — to polityczna warstwa tragedii.

Centralną płaszczyzną treściową i osi kompozycyjną utworu są narodziny, rozwój a wreszcie zasięg zbrodni. Jej mechanizm i dynamika, ukazane poprzez przemiany wewnętrzne zabójczyni, są najpełniej i najbardziej konsekwentnie przeprowadzonym wątkiem.

\*) Inscenizacja i reżyseria — Władysław Woźnik, współpraca dramaturgiczna Wacław Kubacki, kierownictwo literackie — Stanisław Hebanowski.

Trzecia wreszcie płaszczyzna — to świat baśni. Wiąże go z poprzednimi nade wszystko „comes gloriosus”, Grabiec.

Wielowarstwowość ta pozwala na rozmaite rozkładanie akcentów inscenizacyjnych. „Balladyna” poznańska ześrodkowała uwagę aktora i widza na dramacie zbrodni. Osią krystalizującą wszystkie elementy przedstawienia stał się realizm psychologiczny postaci głównej bohaterki. Widowisko ukazało los człowieka, który dał się ponieść zbrodniczej skłonności, rozbudzonej przez przypadek



Państw. Teatr Polski w Poznaniu. „Balladyna” J. Słowackiego. Zofia Rysiówna w roli Balladyny

Do konfliktów wiodą nieuchronnie namiętności i żądze Balladyny, a nie peryferyjna sprawa powrotu Popiela na tron czy ingerencja świata fantastycznego. Ta ostatnia sprowadzona jest w gruncie rzeczy do ram ułatwienia przypadku, który zawiązuje akcję — unieruchomienia powozu Kirkora w lesie. Życiowe prawdopodobieństwo sytuacji zmniejsza poważnie zasługę Goplany i Skierki w kształtowaniu wydarzeń. Poza marginesem ułatwień bardzo prawdopodobnej przypadkowości Goplana stwierdza kilkakrotnie swą niemoc w oddziaływaniu na sprawy ludzkie, zwłaszcza na ich wolę. Jej pełne skruchy słowa przed odlotem „popłatałam ludzkie czyny” zdejmuje z ludzi bardziej wielkodusznie niż prawdziwie część ich przewin, opartych o nieskrępowaną wolę. Jedyne istotą, którą autor rzucił bez reszty we władanie Goplany jest Grabiec. Gdy jednak zazdrość zwodnicy zawiąże akcję, osoba Grabca niewiele ją naprzód posunie.

Konflikty, które narastają, nie są nierozwiązalne. Wola ludzka może je uchylić lub stępić ich ostrze. Na Balladynę nie działają, wbrew zadawnionemu przekonaniu, żadne demoniczne wpływy, które by ją bezwolną pchały od zbrodni do zbrodni. Przypadek nawiązujący akcję i dalsze przypadki nie determinują czynów ludzkich, warunkują je jedynie. Zawsze jednak pozostaje szeroki teren dla działania woli. Tragizm zbrodniarki nie polega na fatalizmie jej położenia, nie na tym, że Balladyna nie może postąpić inaczej, lecz na tym, że nie chce tego uczynić. Wobec dwukrotnej perspektywy wyboru, wobec Goplany i pustelnika wybiera ponownie zbrodnię, zaś wybór jest zaprzeczeniem konieczności.

Grzech jest wolny, a tragedia Słowackiego w omawianej interpretacji jest nade wszystko tragedią grzechu. Jest traktatem o psycho-

logii grzechu przez to chociażby, iż Balladyna, zmieniającej się w toku sztuki, przez cały czas nie opuszcza świadomości naruszenia obiektywnego porządku moralnego i wyższej instancji określającej sankcję za to naruszenie. Na tym centralnym trakcie przemian Balladyny, leży uwypuklony w poznańskim przedstawieniu realizm sztuki, nie przyćmiony ani „przeciwą historycznej prawdzie legendą” ani mnogością anachronicznych powikłań, ani fantastyką nadgoplańskiego boru.

Sztuka jest nadto traktatem, pesymistycznym w efekcie, o odmiennym rozumieniu szczęścia, jako celu dążeń ludzkich, a więc czynnika dynamizującego dzieje. Inne różnych koncepcji szczęścia przewija się przez scenę — obie siostry, Grabiec, Filon, Fon Kostryn, Kirkor wdowa, nie mówiąc o Goplanie.

Powyższa, dająca się z przedstawienia odczytać koncepcja spowodowała wydatne okrojanie wątków politycznego, w mniejszym stopniu fantastycznego — zwłaszcza w końcowych partiach utworu. Adaptację tekstu uznać należy naogół za trafną i prawidłową, tam zwłaszcza, gdzie usunęła czy skróciła ustępy o charakterze bardziej autonomicznym. Tym niemniej skróty w ekspozycji nie zawsze były szczęśliwe i spowodowały szereg niejasności.

Całkowite skreślenie rodowodu cudownej korony Popiela utrudniło widzowi nieprzygotowanemu lekturą pełne zrozumienie funkcji tego symbolu.

Jeszcze bardziej niejasno wypadła postać Filona. Wskutek okrojania partii, która ją eksponuje, staje się dla widza niepojęta. Usprawiedliwienie, iż chodzi tu o postać drugorzędą nie wystarczy, gdyż udział Filona w finale sztuki kieruje nań ponownie uwagę widza. Niektórym powiedzeniem Filona zabrakło wcześniejszych przesłanek, widzowi do połowy sztuki — imienia i zawodu tej dziwnej istoty. Końcowy upust wyobraźni sentymentalnego marzyciela — jego słowa o zgłodzonej żonie — wywołały nieporozumienie, podsłuchane po spektaklu w szatni: — Więc jak to było wreszcie z Aliną? Ten cudak mówi o niej jak o żonie. Czy może spotykał się z nią po nocach jak Grabiec z Balladyną? Oto do czego prowadzi nadmierne amputowanie tekstu. Wstępny monolog Filona, choćby w częściach, przedłużyłby przedstawienie o kilka minut zaledwie, ukazałby jednak istotny dla utworu romantycznego, kontrast kochanka sentymentalnego z rycerskim Kirkorem i wiejskim szafarą, Grabcem.

Kończąc rozważania nad opracowaniem tekstu należy zaapelować o zaostrzenie kryteriów badania zrozumiałości opracowań. Piękna to rola dla powstających ostanie przy teatralnych, mieszanych, literacko-aktorskich warsztatów dramaturgicznych.

Sprawa jest poważna. Teatr w zakresie masowego odbioru dzieła sztuki nieraz wyprzedza książkę. Wielu nowych widzów poznało arcydzieło ze sceny, zanim sięgnęło na półkę biblioteczną. Nie wolno zatem doprowadzić do niejasności lub potknięć, które widz, nieświadomy wymagań pracy teatralnej, może niesłusznie przypisać autorowi.

WIELKIE przedstawienie „Balladyny”, przygotowane w podwójnej obsadzie wielu ról, wciągnęło do pracy znaczną część sił aktorskich Poznania. Długie przygo-

towania i kilkakrotne zmiany obsady wyrażają godny podkreślenia, pełny pietyzmu stosunek realizatorów do dzieła klasycznego.

Rola tytułowa przypadła w udziale naprzemian Irenie Maślińskiej i Zofii Rysiównie. Widziałem w przedstawieniu Rysiównę. Jej Balladyna przygotowana była pod kątem prawdy psychologicznej tej postaci, zgodnie z ogólną koncepcją inscenizacji. Wyrażała plastycznie zbrodnicze skłonności i zmagania się żądz z premedytacją. Publiczność śledzi z zadowoleniem rozwój tej młodej, utalentowanej aktorki. Rysiówna, która w niedawnym „Mizantropie” nadmiernie redukowałą grę do mimiki, uciekając od gestu, wyzyskała w tragedii Słowackiego szeroką skalę ruchu. Błędem raczej reżyserskim było na wstępie ukazanie Balladyny jako córki skrzętnej i pracowitej. Zabiegi gospodarskie powinna podejmować raczej Alina, niezależnie od rozmowy z matką.

Alina Wandy Bykowskiej jest również jej znacznym postępem od rólki we wspomnianym „Mizantropie”. Trafne podkreślenie kontrastu, miękkości, czułości a zarazem prostoty, zostało uwieńczone najlepszą sceną tej roli — modlitwą wieczorną. Większego nacisku słowa i gestu wymagał passus, świadczący, iż Alina decyduje się śmiało rywalizować ze starszą siostrą jedynie w przeświadczeniu, iż serce tamtej zajmuje Grabiec. Alina na prośbę siostry ustąpiła jej pola — czyni to zbrodnię tamtej zbędną, bezcelową, moment niesłychanie ważny w obiektywnej wymowie czynu.

Jadwiga Sachnowska w roli wdowy nie mogła zrazu uchwycić tonu prostaczki wiejskiej, w dalszych scenach dała kreację udaną, chwytającą prawdziwością przeżycia matczyne bólu. Jest to rola niełatwa. Postać wdowy w ujęciu Słowackiego budzi zastrzeżenia. W tym świecie wrażliwym na przeczcucia, uczulonym nadmiernie, żyjącym za pan brat z wszechwiedzącym światem baśni, wdowa raz i brakiem intuicji matczynej. Do końca nie zwątpi w wiarygodność relacji o ucieczce Aliny, do końca tajemnicza plama nie wzbudzi w niej podej-



Państw. Teatr Polski w Poznaniu. „Balladyna” J. Słowackiego. Na zdjęciu: Irena Maślińska (Balladyna) i Wanda Bykowska (Alina).

rzeń. W ostatniej scenie nie rozpoznaje córki na tronie, choć słuch ślepców jest czuły, a Balladyna odzywa się raz w czasie przesłuchania starszki.

Świat duchów w obsadzie wyłącznie niewieściej celnie zdał egzamin gry. Manuela Kiernikówna jako Goplana raz jeszcze odsłoniła walor swego warsztatu aktorskiego — inteligencję. Świetna w scenie mimicznej, gdy budzi wyrzuty sumienia w Balladynie, głosem Aliny, przemawiającej zza kulis, wydobyla w pozostających partiach to, co stanowi istotę tej roli — poetyczność. Chochlik Sobolewskiej i Skierka Ratajskiej znacząco wyrażnie kontrasty charakterów, nieobce jak widzieć społeczności fantastycznych zjaw.

Nie dopisała w równym stopniu obsada męska. Poza wyróżniającymi się ustawieniem i opracowaniem kreacjami Grabca i Fon Kostryna pozostałe role były na poziomie poprawności lub poniżej. Grabiec Władysława Woźnika, zrazu zbyt mało rubaszny i wiejski w głosie, odnalazł wkrótce właściwy ton groteski, osiągając jej kulminację w leśnej scenie królewskiej, wobec Goplany i jej świty. W postaci tej nie do widza nade wszystko staranne przestudiowanie gestu, jego harmonia, tym cenniejsza, że rola ta kusi niebezpieczeństwem łatwej wulgarności.

Fon Kostryn Stanisława Mroszkowskiego kontrastem zachowania akcentował swą obcość w środowisku Lechitów, czego naskutek skreślenia nie mógł uwypuklić tekst. Kirkora kreował poprawnie Olech Moliński.

Zawód sprawił pustelnik Wł. Stomy, podobieństwem do dziesiątków lżawych, bezbarwnych pustelników, którymi przekiermiał widza nieraz inscenizacje przeszłości.

Okrojona nadmiernie rola Filona nie dała J. Strumińskiemu możliwości rozegrania się. Kreacja ta bardziej niż inne skłania do uwagi generalnej. Muzyczny wiersz Słowackiego dyktuje deklamatorowi szereg wewnętrznych nakazów, urzeka często rytmiką, z wyraźną szkodą dla zrozumiałości tekstu, spychając czynnik znaczeniowy na plan dalszy. Nietylko Filon, często inni aktorzy, raz nawet Z. Rysiówna dali się ponieść poetyckiej wartości słowa, zapominając, iż kanony przestankowania mają pierwszeństwo przed rytmem. Ustrzegła się szczęśliwie tej przywary gra Wł. Woźnika.

Oprawa sceniczna w większym, muzyczna w nieco mniejszym stopniu godne były roli „Balladyny” w naszej klasyce. Zygmunt Szpingier, czołowy scenograf poznański po dłuższej przerwie znów pokazał rozległość swych możliwości. Do jego dekoracji i kostiumów należy przykładać wysoką miarę. Jedyne zastrzeżenie możnaby wysunąć pod adresem wnęki tronowej w sali zamku gnieźnieńskiego. Poprzez kręcone kolumnienki i sklepienie kojarzy się ona raczej z budownictwem Maurytanii niż grodu Lechitów. Szpingierowski kostiumy Kirkora, Balladyny jako jego żony, dworzan gnieźnieńskich i chochlika pozostaną na długo w pamięci publiczności poznańskiej.

Ilustracja muzyczna Jerzego Młodziejewskiego, dyskretna, nie tłumiąca słowa, najlepiej harmonizowała podmiotowością ze scenami zamkowymi, kolorytę ludowym z osobą Grabca, w mniejszym stopniu z fantastycznym światem Gopla.

Leszek Prorok